ZEMSTA WANDY

POEMA SATYRYCZNO-ŻARTOBLIWE

w pięciu pieśniach

przez

JOZEFA KALASANTEGO Z SIDOROWA.

Bajgert

POZNAŃ.

1846.

ZEMSTA WANDY.

ZEMSTA WANDY

POEMA SATYRYCZNO-ŻARTOBLIWE

w pięciu pieśniach

przez

JÓZEFA KALASANTEGO Z SIDOROWA

wydał

L. M.

POZNAŃ.
Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki.

1846.

IMPRIMATUR.

Czarnecki, Cenzor.

Poznań, dnia 14. Kwietnia 1846.

WYDAWCA DO CZYTELNIKA.

W mojéj podróży przez Lwów r. 1844., zatrzymawszy się w nim przez dwa tygodnie, tak dla moich interessów, jak dla zwiedzenia jego osobliwości; gdym raz z przechadzki do kościółka Ś. Zofii wieczorem powracał, znalazłem na drodze dość spory zwitek papieru wstążeczką obwiązany. Pora już późna nie dała mi rozpoznać, co to mi w ręce wpadło; lecz powróciwszy do oberzy, widziałem, że to jest rękopis czysto i poprawnie pisany i zapewne już do druku przezna-

czony. Składał on się z niniejszego poematu, za którym szły noty, a daléj znajdowało się jeszcze kilka kawałków lirycznych, widać w różnym czasie, bo na różnym papierze i nie jednym atramentem pisanych, a które tu w dodatku umieszczone. Przez te cztery dni, które jeszcze we Lwowie bawiłem, starałem się najusilniéj odszukać autora, aby mu jego zgubę powrócić, bo czułem, jak mu dotkliwą musi być strata, jeżeli nie posiada drugiego exemplarza swych wierszy, a Newtona naśladować nie potrafi. Ale wszelkie moje starania były daremne, nikt nie mógł mi powiedzieć, kto to jest Józef Kalasanty z Sidorowa; dowiedziałem się tylko, że wieś Sidorów leży w cyrkule Czortkowskim, drudzy zaś mówili, że w cyrkule Zaleszczyckim, koło Husiatyna przy granicy rossyjskiéj; ale któż mi mógł zaręczyć, że tam autora szukać trzeba? Rozpatrzywszy się lepiéj w rękopisie, postrzegłem, że pod niektóremi notami podpisano: Witalis Kukułka; azatém być może, że ten rękopis już w drugich znajdował się ręku, i że go

nie autor, ale Witalis Kukułka, który może miał być jego wydawcą, zgubił. Lecz i o tym Witalisie Kukułce niczego dowiedzieć się nie mogłem, i nie dziw, gdy to nazwisko zdaje się być przybrane. Tak więc, gdy przyszło ze Lwowa wyjeżdżać, wziąłem rękopis ze sobą, który już odtąd za moją własność poczytałem. W drodze na noclegach nie mając nic do czynienia, zacząłem go czytać z uwagą, i przeczytawszy, zauważałem, że chociaż egotycznéj treści, przecie może czytelnika nie z jednego względu zainteressować i zabawić; postanowiłem więc wydać go na świat i wydaję w tém przekonaniu, że jeżeli nie czytelnicy, to przynajmniéj autor wdzięczny mi będzie, bo tym sposobem stratę swoją odzyska. — Jeszcze parę słówek o poemacie. Poemat Zemsta Wandy przyłącza się do wierszy Wanda i Kwiaty, umieszczonych w Miłostkach Poety tegoż samego autora; lecz tak, że i temu, kto wzmiankowanych wierszy nie czytał, ciemnym nie będzie. Od początku do końca treścią jego satyra, ale osoby działające zdają się utworami

wyobraźni, albowiem niektóre charaktery tak są w karykaturę pociągnione, że nawet iluzya (ze szkodą poematu) ginie, a tém samém, gdyby nawet był kto portretowany, jużby się stał nie do poznania. — Zostaje mi jeszcze wymienić odmiany, które pozwoliłem sobie zrobić: dodałem kilka wierszy własnych, i te w notach oznaczyłem; klasyczne imie Zosia zmieniłem na Izę romantyczniejszego brzmienia, a to z obawy, aby jaki głęboki krytyk nie chciał dla téj przyczyny, a większéj głębokiemu krytykowi nie potrzeba, ochrzcić poemat klasycyzmem, coby go niechybnie popularności pozbawiło. Nakoniec imię Breszek zmieniłem na Leszek: Breszek pochodzi od brechać, co w ruskiém narzeczu znaczy kłamać, lecz to znaczenie dla innych prowincyi polskich ginie; kto zaś wie, co to wiersze, będzie wiedział, dla czego nie położyłem innego imienia.

L. M.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Das spyl hab ich gefangen an
Darumb will ich den Auswurf han
Und will auch selbst Karten geben
Nach meinem Sinn und gefallen eben.

Cochläus).*

Non abscondero nè l'amore, nè l'ira; perche uomo invano promette spogliarsene ove narri i fatti degli uomini.

Geurra del Vespro Sicilliano
di Michele Amari.

OBRAZEK FAMILIJNY.

Dziś Europy nadzieja i miłość i wiara
Nic więcéj tylko kolej żelazna i para;
To powszechne wrzeciono wszystek um człowieczy
Ciągłą myślą osnuwa. W takim składzie rzeczy
Mnieby trzeba z wierszami w kącie siedzieć cicho;
Ale cóż? kiedy jakieś nagaba mnie licho,
Poskarzyć się przed światem na tę klęskę sławną,
Co mnie od pięknéj Wandy spotkała niedawno;

I razem, chociaż gniewna, mnie cierpieć niemoże,
Przesłać do potomności jéj powabów roże.
Wykryć na jaw, co mogą oczy jéj figlarne,
Jak jednych w raj prowadzą, drugich w przepaść czarnę
Ani słowa! nad Wandę nic na świecie niema!
Niech się dąsa kto wrogiem, niech się zazdrość zżyma,
Niech się oburzą stare i młode kokietki,
Chociażby stąd miał na mnie grom wypaść nieletki;
Już to nic niepomoże, u mnie w każdym względzie
Różą nad wszystkie róże zawsze Wanda będzie.
Bo proszę, gdzie to znaleść takie żywe oczy,
Taką wiosnę na twarzy, uśmiech tak uroczy.
Taką pogodę czoła, taką białość lica?
Lecz co tu wiele mówić: Wanda czarownica!
I nie dosyć, że takim powabem ujmuje,
Wanda jeszcze i bystrym rozumem celuje;
Ona wie co poziome, co stoi na szczycie,
Co jest szczęściem prawdziwém, co uzacnia życie.
Prawdy do dna samego zbadała głębinie,
I kiedy mówi, z ust jéj sama mądrość płynie.
Właśnie możem podsłuchać, bo Wanda nie sama,
Jest z nią Iza jéj siostra, jest i luba mama,

Która z wielką radością córeczki swéj słucha,
To jest, gdy mówi głośno, bo staruszka głucha;
Tak jest, głucha, lecz krótka wzmianka o téj wadzie
Tylko dla historycznéj prawdy tu się kładzie;
I pani Florjanowa, jeźli prawdę ceni,
Swojéj ku mnie przyjaźni dla tego niezmieni.
Teraz właśnie na sofie dumała o balach,
O złotych bransoletkach, o tureckich szalach,
O sukniach świeżéj mody, o nowych stroikach,
O nowych rękawiczkach, o nowych trzewikach;
Bo do hrabiny wkrótce z wizytą pogoni,
Chociaż hrabina od niéj dość widocznie stroni.
Przed lustrem się wygina Iza szczebiotliwa,
Coś tam sobie pod nosem z Rossiniego śpiewa;
A Wanda, śliczna Wanda, siedzi przy stoliku,
Gdzie modę zwiastujących żurnalów bez liku.
Odkąd łóżeczka swego rzuciła poduszki,
Już je piąty raz bierze w drobniutkie paluszki.
Długo patrzy i patrzy z pochylonem czołem,
Aż wreszcie w uniesieniu zawoła wesołém:
Mamo! jak za mąż pójdę, przepych u mnie będzie,
W pokojach, w przedpokojach złoto zalśni wszędzie;

Ale najwięcej na to zwrócę myśli moje,
Ażebym zawsze miała najmodniejsze stroje;
Wszystkie sklepy wyczerpię dla méj toalety!
Bo i w czémże nareszcie mam szukać zalety?
I cóż lepiéj poświadczy dobre wychowanie,
Jeżeli nie gustowne i drogie ubranie?
Ach! nic sobie słodszego niemożna wymarzyć,
I los większém nas szczęściem niezdoła obdarzyć,
Jak suknią najpiękniejszą zalśnić na salonie,
Jeńców u nóg swych widzieć i serca brać w plonie;
Pozwyciężać rywalki, zazdrość w nich obudzić,
I widokiem trofeów na śmierć je zanudzić!
Choć mąż krzywić się będzie, co mnie to obchodzi?
Jeźli znosić nie zechce, to niech się rozwodzi.

A co? nie powiedziałem, że Wanda jest mądra?
Któż w tych słowach mądrości nie namaca jądra?
Tak jest, Wanda ma rozum i wymowę gładkę;
Ktoby jeszcze nie wierzył, niech spojrzy na matkę.
Ta się z wielkiej radości prawie nie posiada,
Wstała, i w rozczuleniu tak do niéj powiada:

Przybliż sie Wandziu droga, uściskać cię muszę!
Ty mi wstydu nie zrobisz, ty masz wielką duszę!
Ale, ozwie się Iza na pół z uśmiechnieniem;
Kiedyż się szczęścia tego ucieszym promieniem?
Bo coś nam z tém zamężciem nieidzie jak z płatka,
Czas ubiega i coraz przybywają latka.
O moja luba Izo! Wanda jéj odpowie:
Ja się tém nie turbuję, ani mi to w głowie;
Zechcę, dzisiaj sto hrabiów u nóg moich leży,
A każdy i bogaty i jak wiosna świeży.
Ach! prawdziwie, to kłopot, w tak wielkim natłoku
Przytrudny będzie wybór i sercu i oku.

I długo snuł się jeszcze wątek téj rozmowy,
Aż się w końcu znajomych wykłuły obmowy:
Jak pani marszałkowa dała bal nikczemny,
Jeden drugiego trącał, tak salon był ciemny;
O jadle i o trunkach już słowa nie gadaj,
A muzyka.... dalipan z uszami przepadaj.
Jak Flora w jednéj sukni, niesłychane rzeczy,
Drugą robiąc wizytę, dobry ton kaleczy.

Jak gruby szal hrabiny, to prawdziwa dymka,
Mogłaby dać na chustki dla jakiego Szymka.
Malwina smagłe piersi odsłania zbytecznie;
Piotr nieumiejąc tańczyć będzie gapem wiecznie;
I Jan głupi, bo rozum nad pieniądze ceni,
Ma też książek za katy, a pustki w kieszeni;
Gdyby nie to, któż ganić mógłby Klementynę,
Że widząc go, przybiera zakochaną minę.
I Juliusz, ten sowizdrzał, niby nie dowidzi,
A on damom idącym ukłonić się wstydzi;
Czém jasno poznać daje, że to nie kobietom,
Lecz jeżeli się kłania, kłania się karetom.
Wielki arystokrata! ale nie dlatego
Że dziad u marszałkowéj był za koniuszego,
Gdzie położywszy wielkie, prócz stajni zasługi,
Dostał i cały skarbiec, i dóbr szereg długi;
Czém mógłby się poszczycić, śmiało przyznać możem,
Bo gdy dziad był koniuszym, jużci nie był stróżem;
Lecz on tym się nie hełpi splendorem rodziny,
Nadyma się jak indyk bez żadnéj przyczyny.

Tak się grono dam naszych obmową bawilo,
I to zawsze gdy w domu Florjana nie było;
Bo ten nie lubił, aby obmawiał kto inny,
W tak przyjemnym zawodzie sam pragnął być czynny;
Więc gdy kto czernił drugich, gniewał się szkaradnie,
Mniemając, że z ust jemu każde słówko kradnie;
Jednego tylko w każdéj oszczędzał potrzebie,
Ba nawet pochwałami obsypywał.... siebie.

Figurować w mych wierszach już Florjan nawyknął,
Jednak ja się obawiam, aby mi nie zniknął:
Ach: może to cień tylko mnie łudzi; o biada!
Bo gdy myślę, więc jestem, Kartezyusz powiada*);
Toż Florjan nic nie myśli, więc Florjana nie ma!
Jakże taką czczą marę me pióro zatrzyma?
Tymczasem z drugiéj strony Florjan je, więc żyje,
Chwała Bogu! ja jego zalety odkryję!

Ale gdzież ten pan Florjan bawi do téj doby?
Czyż nie poznamy bliżéj tak miłéj osoby?

Wszakże to już nie rano, już pora obiadu,
Aby obiad opuścił, niebyło przykładu.
Otóż właśnie ulicą w czwał pędzi do domu,
Pilno mu, nawet głową nie kiwnął nikomu;
Żydek chciał go zatrzymać, prosząc bez hałasu
O dłużek, ale gdzie tam, wrzasnął: nie mam czasu!
Wyrwał mu się, i dalej jak na skrzydłach leci,
Wywrócił jakąś babę, poroztrącał dzieci.
Aż się dostał na wschody, do pokoju wpada,
Jeszcze do tchu nieprzyszedł, już na głos powiada:
Zgadnij o zgadnij Wandziu, com ci przyniósł z miasta?
„Pewnie bilet na koncert,“ nie! „więc jakieś ciasta.“
Nic z tego, zgaduj jeszcze! „pomarańcze może!“
I to nie! „więc karmelki, o to się założę!“
Nie zgadłaś, rzecze Florjan, o Wandziu kochana!
Bo to książeczka na świat właśnie co wydana;
Tytuł: W a n d a i k w i a t y; gdzie w miłości stały
Autor, zapewne śliczne sypie ci pochwały.
To mówiąc wydobywa książeczkę z kieszeni,
Oddaje w śliczne rączki, Wanda się rumieni.
„Co, co?“ zapyta matka słów niedosłyszawszy,
A gdy jéj rzecz powtórzył Florjana głos żwawszy;

„A to ślicznie," zawoła, „on cię pewnie chwali
I swojéj kornéj cześci kadzidła ci pali.
Nieboraczek, żal mi go! kochał cię szalenie,
Chociaż wiedział, że jego daremne płomienie;
Ja ci zawsze mówiłam: to poczciwy człowiek,
On ciebie nie zapomni do zawarcia powiek.
Ach, szkoda! żeś nie była dla niego grzeczniejsza,
Grzeczność nic nie kosztuje, godności nie zmniejsza."
„Ach, tak, zawoła Wanda z szyderskim uśmiechem,
Już to mogę powiedzieć, bo prawda nie grzechem:
On mnie kocha nad życie, dobrze nie szaleje;
Cóż robić? niech jak może karmi swe nadzieje."
Ty sobie, przerwie matka, drwisz z niego, a przecie
To zaszczyt, że w ten sposób sławi cię po świecie.
Patrz, książka drukowana głosi twe zalety,
Tego nie wszystkie mogą dostąpić kobiety;
I kto wie, jaka jeszcze stąd korzyść wykwitnie,
Może książę pokocha chwaloną zaszczytnie.
Bądźże mu litościwsza, za jego cierpienie
Rzuć mu kiedy niekiedy łaskawe spojrzenie;
Ty w to pewnie potrafisz, nic ci nie zaszkodzi,
Jemu zaś smętne życie na długo osłodzi.

Teraz czytaj tu sama, my sobie pójdziemy,
Wszak potém się wszystkiego od ciebie dowiemy;
Bo abym ja czytała, to bardzo jest trudno,
Dla mnie zawsze czytanie było rzeczą nudną.
To mówiąc, wraz odchodzi do bawialnéj sali,
Tam za nią biegnie Iza, tam i Florjan wali.

Na sofie po zwierciadłem, śliczna jak huryska*),
Która ognistéj duszy Araba przełyska
Gdy pod cieniem namiotu, lub w palmowym gaju
Marzy sobie słodycze i roskosze raju;
Leży Wanda i czyta. Na wezgłowiu miękkiém
Spoczęła główka, włosów ocieniona pękiem;
A suknia połamana w malowne przeguby,
Daje oku odgadnąć jéj ciałka kształt luby;
Jedną nóżkę, o szkoda! połyka zazdrośnie,
Drugą na pół odsłania, spadając ukośnie.
Malarz który wdzięk wszystek chciałby dać Wenerze,
Niech tu z farbami swemi staje, i wzór bierze;
Wanda go niepostrzeże, Wanda teraz czyta,
Czyta, a uśmiech słodki na twarzy wykwita;

Widna radość, i widać choć oczy spuszczone,
Że chciwie wzrok przeciąga ze strony na stronę;
Jak dziecię przy łakociach złożonych na stole,
Nie pomnąc na zabawki i zwykłe swawole.
Ale teraz, gdy dalsze stronnice przebiega,
Barwa już innych uczuć oblicze zalega:
Pogodą jaśniejące jéj czoło się chmurzy,
Brew się marszczy, jak rzeka za nadejściem burzy;
Raz szkarłatny rumieniec na całą twarz pada,
Jak łuną z kłębów dymu płomień się wykrada;
To znowu piękne lica pobledną jak chusta,
Równie bledną i płoną jéj ściśnione usta;
A piersi, które oddech zatrzymany wzdyma,
Świadczą jak, chcąc doczytać, na wodzy gniew trzyma.
Aż wreszcie gdy się zbliży do ostatniéj kartki,
Nagłym rzutem ze sofy gniew porwie ją żartki,
Skoczy i tupnie nóżką, aż okna zadrzały,
Rzuci książką o ziemię, i krzyknie w głos cały:

O zdrajco! o poczwaro! w taką pieśń ty dzwonisz?
Takie to teraz kwiaty pod nogi mi ronisz?

Kwiaty? o nie, to chwasty, to brzydkie pokrzywy,
Wszystko płód godny twojéj poezyjnéj niwy.
Tobie śpiewać? widzisz go, jaki mi poeta!
Bazgracz, wierutny bazgracz, lichy wierszokleta:
Piękne masz myśli, każda, jak pęknięta raca;
Ani słowa: wart pałac Paca, Pac pałaca.
A ten komentarz, któryś sam pewnie napisał,
Jak wąż, co wszystkie jady z kwiatów powysysał;
Chociaż tępego żądła, chce na śmierć skaleczyć,
Chce nawet wdzięków moich pochwałę zniweczyć.
Czy bies w głowie do reszty pomięszał ci szyki,
Bluźnić własnéj bogini takiemi wierszyki,
Mościć zuchwałą ręką, ołtarze jéj w pował,
Burzyć, walić w perzynę, coś sam wybudował?
I za co? któż ci kazał zakochać się we mnie?
Jakże mogłeś nie poznać, że to nadaremnie?
Stańmy no do zwierciadła! powiedz, czy być może,
Aby taki robaczek taką dostał różę?
Karlik, suchy jak trzaska, pochylony laty,
O zębach wypróchniałych, łysy i dzióbaty,
Tobie raczéj w konopiach na wróble strach wzniecać,
A nie do młodych, pięknych panien się zalecać!

Toż nie dosyć, żem twoje cierpiała grzeczności,
Jeszcze chcesz, abym zniosła i wybryki złości?
O ja ci niedaruję! ja zemścić się muszę,
Aż mi u nóg wyzioniesz ukorzoną duszę!
Poczekaj, dam ja tobie skrobać mi marchewki;
Już ty obaczysz, że to zemną nieprzelewki.
Tutaj gruszek nie można zależeć w popiele,
Wkrótce ja cię nauczę gwizdać po kościele!
Gorącego ci sadła za skórę naleję,
Obaczym, kto z nas dwojga w końcu się zaśmieje.
Bo mnie z mojéj godności twój wiersz nie wywłaszczy;
Cała wylecę, jak ptak z krokodyla paszczy*);
Znajdę, znajdę ten kamień, co to z każdéj rany*)
Do szczętu jad wysysa zatrutym tchem wlany;
I jak Psylli godzinę, ciebie węzu brzydki*)
Porwę i szarpać będę, i wydziwiać zbytki.
Poznasz, jaką nagrodę w korzyści odnosi,
Kto chce dawać nauki, kiedy nikt nie prosi.
Zdeptany moim gniewem legniesz zwyciężony,
Ty zginiesz, jak ruda mysz, tyś już jest zgubiony!

Tak się tam rozwodziła Wanda w słów rozlewie;
Lecz gniew nie ćmi jéj wdzięków, piękna nawet w gniewie,
Ba, jeszcze żywszém okiem roztlały źrenice,
Roży jaśniejszy szkarłat uderzył na lice,
I ruch cały wydawał Amazonki postać.
O gdybym mógł był wtedy tam do niéj się dostać,
Gdy klątwę na mnie rzucał jéj głosik uroczy,
Chociażby miała w gniewie wydrapać mi oczy,
Usunąłbym przemocą odporu przeszkody,
I śliczne ucałować musiałbym jagody!

Tymczasem jéj monolog odbił się o ściany,
I aż w bawialnéj sali rozwiał się złamany.
Biegną wszyscy, lecz matka pierwsza pytać spieszy?
A co? chwali cię, chwali? to mnie bardzo cieszy!
Ach, gdzie tam! powie Wanda, tu o tém nie mowa.
Lecz nie słysząc, zawoła znowu Florjanowa:
A to ślicznie! dziś jeszcze przejdziem się po wałach,
Kogo zdybiem, powiemy o tych mu pochwałach;
Niech wie każdy, jaką cześć odbiera me dziecię.
Aj! krzyknie na głos Wanda, co tam mama plecie!

To nie pochwały, ale satyry, ucinki,
Czytaj mama, obaczysz jakie przykre drwinki.
Co, co? zawoła matka, to satyry? comment?
On śmie pisać na ciebie ucinki? le mechant!
A zbrodzień! a poczwara! jakże zawiódł zdradnie!
Il faut punir le traitre, i nawet przykładnie.
Tymczasem Florjan wielkiém zdziwieniem osłupiał,
Z całéj postawy widać, że do reszty zgłupiał.
Aż wreszcie odezwie: powiedzcież mi dzieci,
Zkąd taka nagła zmiana, co się tutaj święci?
Ja myślałam, że zgubną miłością raniony
Życie sobie odbierze poeta szalony;
A on satyry pisze! cóż to się znaczy?
Wandziu, Izo, niech która z was mi wytłómaczy.
Widać, ozwie się Wanda, jegomość miłośny,
Jak każdy bez urody, trochę jest zazdrośny;
Ale czegoż chciał? wszak sam nie zbliżył się krokiem.
Patrzał tylko jak w tęczę, na mnie gapiém okiem;
Nie mówiąc ni be, ni me; ja tymczasem mile
W ciżbie hożych mołojców przepędzałam chwile;
To pewnie tę złość straszną musiało w nim wzbudzić,
Głupi! nie wie, że trzeba.... ot, każdego łudzić,

To oczu żywszym ogniem, to minką przyjemną,
Bo nie wiem, który zechce ożenić się ze mną.
Mylisz się, rzekła Iza, on nie był namiętny,
Zdawał się na to wszystko dosyć obojętny.
Lecz pomnij, żeśmy chciały w obec wielu osób
Żartować sobie z niego, i to w taki sposób,
Który musiał się jemu zdawać trochę twardy;
Już wtedy nas obiedwie zmierzył okiem wzgardy.
Już to prawda, my w naszym myślały rozumie,
Że ta mała poczwarka trzech zliczyć nie umie.
A moje panieneczki, rzecze Florjanowa;
Toście bardzo chybiły, o tém ani słowa!
Drażnić, ranić poetę, to rzecz niebezpieczna.
Jak dobrze teraz dla mnie, żem była z nim grzeczna;
A nuż byłby rozgłosił dla jakiéj przyczyny,
Gdym obchodziła moje wtóre zaślubiny,
Lokaj u mnie służący w łeb sobie wystrzelił.
Albo, co jeszcze gorsza, gdyby się ośmielił,
Trąbić po całym świecie, ba nawet dowodzić,
A któżby mu zabronił, jak można przeszkodzić?
Że szynkarz, tak jest, szynkarz... lecz nie mówmy o tém.
Samo wspomnienie zimnym oblewa mnie potem;

Któraż wtedy hrabina, bo wszystkie są w tonach,
Zechciałaby przemówić do mnie na salonach?
Już i tak dumném okiem nie jedna spoziera,
Ledwie mi głową kiwnie, nos w górę zadziera.
Lecz dajmy temu pokój! ty powiedz, Florjanie,
Jakie ten łotr-poeta ma wziąść ukaranie?
Rzekła, na to małżonce Florjan odpowiada:
Jużci na pojedynek wyzwać go wypada;
Lecz cóć, choć go porąbię, chociaż z hańbą legnie,
Wieść o tém skona w ciszy, na świat nie wybiegnie;
Gdybym ją nawet skrzętnie na wsze strony szerzył,
Na nic to się nie przyda: nikt nie będzie wierzył;
Bo już to moim losem, niech co mówię szczerze,
Niech przysięgam, nikt tego za prawdę nie bierze.
Tymczasem kiedy Wandzia jawnie obrażona,
Równie jawną być musi kara wymierzona.
Tak mówił, a w tém słówko z Wandy ust wypłynie:
Jaką bronią kto walczy, od takiej niech ginie!
Ja sądzę, że na takie złośliwe wierszyki
Trzeba koniecznie równie złośliwéj krytyki;
Krytyki dym szczypiący, na nic go wywędzi,
Zczerni przed całym światem, i do grobu wpędzi.

Brawo! zawoła Florian, to myśl wyśmienita,
Zaraz ja wam krytykę napiszę, i kwita!
Dajcie tylko papieru, pióra, atramentu!
Jednym pióra pociągiem zgładzę go do szczętu.
To doskonale! przyszła kryska na Matyska,
Niechaj pozna brat-łata co złość jego zyska.
To mówiąc, do pisania zaraz się gotuje,
Lecz jego rozpęd żona tém słówkiem wstrzymuje:
Tobie pisać krytyki? jaki mi erudyt!
Właśnie jak ten, co głowę zdarła jemu Judyt;
To nie na balach cukry spuszczać do kieszeni,
Tutaj się dowcip głowy, a nie palców ceni.
O! daj ty temu pokój! ręczę, podrwisz głową,
I pięknego nam piwa nawarzysz na nowo;
Szukaj raczéj zdatnego, jest ich dosyć w miescie,
Bo gdzie jeden piszący, tam krytyków dwieście.
Na tę przymówkę żony chciał się Florjan zżymać,
Lecz nareszcie osądził, że lepiéj się wstrzymać;
Więc tylko głową sobie cierpliwie pokiwał;
Ach! bo Florjan już nie ten, który dawniéj bywał:
Póki jeszcze miał wioskę z urodzajném łanem,
Był dziwakiem, był dzieci, był żony tyranem.

Lecz gdy wszystko przetracił, dziś na łasce żony,
Z tyrana stał się nagle sługa uniżony.
Więc pokornie i w duchu téj metamorfozy,
Poszukam, rzecze, bicza na twórcę tej zgrozy;
Lecz darmo, pani żono, nikt pisać nie zechce,
Daj dziesięć dukacików, ten dar kogoś złechce.
Ach! dziesięć dukacików? Florjanowa wrzaśnie;
O przeklęty poeto, niech cię piorun trzaśnie!
Ja oszczędzam jak mogę, grosza strzegę wiernie,
Kaszą i kartoflami żyjemy mizernie,
Sługom prawie nie płacę, a trzymam o głodzie,
Aby tylko mieć stroje jakie właśnie w modzie,
I razem z wielkim światem pokazać się w loży,
A ten niecnota jeszcze wydatki mi mnoży!
To mówiąc, podreptała do biórka; nierada
Dobywa dukaciki, w ręce męża składa,
I znowu chce na nowo wynurzać swe bole,
Ale lokaj znać daje, że barszczyk na stole.

PIEŚŃ DRUGA.

Wer da klug ist, machet sich keinen Dichter leicht zum Feinde,
Sondern hält denselbigen, so viel möglich ist zum Freunde;
Denn, thust du ihm was zu Liebe, wohl! er hebt dich himmelan,
Stösset dich bis zu den Höllen, hast du ihm ein Leid gethan.

Neumark.

Jo veggo, che per voler ritrovare il vero, io acquistero nome di satirico, ma che? non è meglio esser biasimato colla verita in mano, che lodato coll' adulazione?

Il Riposo di Borghini.

WYCIECZKA FLORJANA.

Jak wódz, któremu swój los ojczyzna powierzy,
Gdy na państwa granice obca moc uderzy;
Choć skromny, jednak czując wielkość powołania,
Szlachetnéj dumy sercu swojemu nie wzbrania,
I naprzód w myśli gromiąc tłum nieprzyjaciela,
Wyżéj podnosi głowę, żywszém okiem strzela;
Tak Florjan przez ulicę wali dumnym krokiem,
I ciekawém, wnikliwém rzuca w koło okiem.

3

Chcąc wybadać, wyczytać z przechodzących twarzy,
Czy wiedzą, że on w myśli wielki zamiar waży,
Że idzie recenzenta takiego wyszukać,
Co to umie na piękne wyłajać i sfukać.
Ogromne przedsięwzięcie! bo też ani słowa,
Los każde dzieło wielkie dla Florjana chowa.
Niedawno go wysłano w podróż za granicę,
I przywiózł tu śpiewaczkę, a miał przywieść świece.
Co tam było zachodu, co za długie targi,
Ale też jaki tryumf, gdy rozwarła wargi!
Słysząc oklask publiczny, choć sam pierwszy klaskał,
Florjan kontent sam z siebie wąsy sobie głaskał;
Teraz milczkiem tu, owdzie taki wniosek szerzy,
Że mu za to od ziomków pomnik przynależy.
Wtedy właśnie hrabiny spraszał w całém mieście
Do żony na herbatę, i sprosił ich dwieście;
Aby swoją śpiewaczkę damom prezentować,
I przy téj sposobności trochę szarmantować.
Ileż się nie nabiegał, któż sobie wystawi?
O przynajmniej bieganiem na wieki się wsławi!
Już nikt nie powie: Florjan nie celuje niczém:
Biegać nie powstydzi się przed świata obliczem;

Tylko szkoda, że o tém nie piszą gazety:
Tak to w cieniu zostają prawdziwe zalety!
Podziwiajmy i stałość w jego charakterze,
On nigdy nie porzuci, co raz przedsiębierze.
Rok temu zadał sobie to wielkie pytanie
Czyli komisbrod, który jadał na śniadanie,
Doskonalszy u Pola, czyli u Erbara?
I kosztowało go to znoju co niemiara,
Bo codziennie obiedwie zwiedzając cukiernie,
Trzy miesiące komisbrod ważył w ręku wiernie,
Trzy miesiące próbował, kosztował, smakował,
I czasu, i kieszeni i nóg nie żałował;
Aż nareszcie to ważne uczynił odkrycie,
Że komisbrod tu i tam słodki należycie,
Ale Erbara kruchszy, więc lepiéj smakuje,
Zaś Pola większéj miary, więc taniéj kosztuje.
O szczęśliwy to człowiek! nieraz, choć nie marzy,
Szczęście go opromieni uśmiechem swéj twarzy:
Téj zimy z panem hrabią chodził po reducie,
Sam w eleganckim fraku, pan hrabia w surducie;
I trzeba było aby w zatrudnień natłoku
Hrabia chustkę od nosa zapomniał w szlafroku,

A potrzebował bardzo, gdy tabaczki zażył;
Co tu robić? tak hrabia różne myśli ważył.
Lecz na szczęście miał Florjan w kieszeni dwie chustki,
Podał niezmiętą jeszcze z żółtemi wypustki;
Hrabia nos utarł, wraca, a Florjan ją składa,
I chowa na pamiątkę: dotąd ją posiada.
Ku temu, by dał wyprać, już go nikt nie nagnie:
Dowód łaski hrabiego w całości mieć pragnie.
Niech kto przyjdzie do niego, zaraz pokazuje,
I szczęśliwe zdarzenie czule opisuje.
Ale dawniejsze rzeczy zostawmy na stronie,
Teraz inne działania leży przed nim błonie.
Mieć styczność z autorami toż to Florjan lubi!
Ich lada znajomością szeroko się chlubi,
I niech z takiém stworzeniem przez chwilkę pogada,
Zdaje mu się, że rozum on także posiada;
Nawet sam, gdyby zechciał, mógłby dzieła tworzyć,
Mógłby wierszy i prozy bez liku namnożyć.
I w saméj rzeczy, ja sam nie raz się dziwuję,
Co też od dzieł pisania Florjana wstrzymuje?
Palców ma ile trzeba, ma pióra, atrament,
I o papier nie trudno; a że w myślach zamęt,

Że w głowie nie ma ładu, jak w chińskim ogrodzie*),
Ciemno, jak pod równikiem po słońca zachodzie*);
Ta okoliczność właśnie dzieło przyozdobi,
Większą zjedna mu sławę, pokupniejszém zrobi.
Może przyjdzie do tego: bo co się przewlekło,
Powiada nam przysłowie, jeszcze nie uciekło.
Tymczasem musi przody recenzenta zgodzić.
Idąc, stanął, i zaczął w dół okiem powodzić,
Waży głową tu, owdzie, jak Hamlet w teatrze,
Rozmyśla na którego z tych panów przód natrze.
Literatów czereda była dosyć znaczna,
Jednych skłaniała pisać sławy chęć dziwaczna,
Drugich żołądek próżny gdy mu głód dokuczył,
Książki z książek przerabiać i zszywać nauczył;
Ale wartość kto pozna téj całéj gromady,
Ledwie potrafi drugiéj nie pisać Dunc-jady*).
Między temi Polelum wziętości używał,
Nawet za uczonego poczytany bywał,
Choć wprawdzie nic tak bardzo jak myślał o sobie.
Ten, aby się odróżnić w pisania sposobie,
Jak kokietka oczami, językiem dziwaczył,
Pogwałcił toki mowy, składnię przeinaczył;

Wydał wielką rozprawę podobną z zalety
Do wieży babilońskiej; pisał i sonety,
Których nietylko drudzy, lecz sam nie rozumiał,
I aż wtedy nad własnym talentem się zdumiał.
W tym talencie i Florjan wielką ufność kładzie,
Tam więc idzie po krótkiéj ze sobą naradzie.
Zastał go przy stoliku, nad rymem się krztusił
Od godziny, lecz jeszcze z siebie nie wydusił.
Florjan wita, poufny ton mowy przybiera,
I zamiar, z którym przyszedł, w ten sposób otwiera:
Mój ty panie Polelum, jużeś czytał może
Wiersze: Wanda i kwiaty? głupie, żal się Boże!
Lecz tam przeciw téj Wandzie są złości wybryki;
Autor wart rozszarpania od zębów krytyki.
O proszę cię, napisz ją! ale napisz ostro,
Zwiąż mu gębę, jak wiązał kłódkami Kagliostro.
Wprawdzie sambym potrafił, ale nie mam czasu;
Wiesz jak na wielkim świecie żyję wśród hałasu,
To wizyty, to bale, tu koncert, tam robry;
Tobie to co innego, a więc jakeś dobry
Siadaj, pisz, daj do druku, ja wdzięczność dowiodę,
Pięć dukatów dalibóg złożę ci w nagrodę.

Skrzywił się pan Polelum, i chociaż wyraźnie
Nie rzekł, ale w cichości pomyślał: a błaźnie!
Toż mi ty wiele dajesz; ja nie pisząc joty,
Za same obietnice większe biorę kwoty.
Tak, bo rzeczy dawniejsze wpadły mu do głowy,
Myślał, ale odpowiedź dał innéj osnowy.
Rzekł: panie dobrodzieju, te wiersze czytałem,
Ale w nich wad, usterków znacznych nie widziałem;
Pominąwszy tu owdzie wyrażeń ubóstwo,
Jestto dziełko z tych rzędu jakich mamy mnóstwo,
Co to ni złe ni dobre, jedném słowem mierne,
A więc względem krytyki nie tak łatwo bierne.
W stylu tylko jest wada, ta, że nazbyt jasny,
Łatwy do zrozumienia, ale to błąd własny
Każdemu, który starych autorów pochwytał,
A w moje poezye nie dosyć się wczytał.
Już to bez chwalby, w stylu ja jeden rycerzem,
Bo kiedy drudzy dłótem, ja rzeźbię puklerzem.
O drogi przyjacielu! tak Florjan wykrzyknął;
Tyś jak znawca głęboko w jądro rzeczy wniknął;
To mi będzie krytyka, to chłosta prawdziwa!
O bynajmniej! tak jemu Polelum przerywa:

Daruj mi pan dobrodziéj, ja tego nie zrobię;
Właśnie małą pensyjkę chcę wyjednać sobie
U panów, więc mi trzeba, abym z każdéj strony,
Od małych i od wielkich był na głos chwalony.
Już skłoniłem ku temu Przegląd naukowy,
Z innemi dziennikami mam także umowy;
Na cóż mi teraz, proszę, szukać z kim zaczepki?
Sambyś, panie, powiedział, że mi braknie klepki.
Taką odprawą Florjan cokolwiek się zmieszał,
Wyszedł gniewny, a trochę nos na kwintę zwieszał;
Lecz ledwie na bruk wstąpił, ta myśl go pokrzepi,
Że pewnie prośbę jego Stękosz przyjmie lepiéj.
Stękosz był to pan, ale książki czytać lubił.
Czytał póty, aż w książkach własny rozum zgubił;
Ale właśnie że zgubił, Erudytem został,
Świat krzyczał, że Bajlemu, Leibnitzowi sprostał*).
Jego żywiołem było cytować bez końca,
Bez poręki autorów nie wierzył w blask słsńca;
Pisał także sam wiersze, lecz tylko w tym celu,
By miał przy czém poetów zacytować wielu.
Nawet w potocznéj mowie mów mu: dziś pogoda!
On powie: taką śpiewa Horacyusza oda.

Wspomnij u stołu rzodkiew, chrzan, co w język piecze,
On zaraz Linneusza na plac ci wywlecze.*)
Nieuczony takiego uczonym nazywa.
Do niego z prośbą swoją nasz Florjan przybywa;
Nie miał czasu wymyślić jaki koncept nowy,
Więc temi co i przody wynurza się słowy;
Tylko ton mowy zmienił, bo tu sutsze meble
Wzgląd i szacunek na dwa wzniosły szczeble.
Krótko, co rzadko czynił, rzecz swoją wykłada;
Stękosz słuchał uważnie, nareszcie powiada:
Te krytyki częstokroć polemikę budzą,
I wojną literacką świat śmieszą lub nudzą.
W ten sposób z Puffendorfem Bekman się powadził*),
Taką wojnę Skaliger z Erazmem prowadził*),
Taką Gozzi z Goldonim, a Godszed z Bodmerem*),
Taką Wolter z Freronem, a Russo z Wolterem*);
Drugi Russo i z Humem głośne miał zatargi*),
Świat śmiał się z obu, swoje gdy głosili skargi,
Bo to wielkie i nauk i muz poniżenie,
Gdy się kłócą uczeni, prawdziwe zgorszenie!
Najlepiej jest przebaczyć urazy i winy,
Choćbyśmy do nich nie dali przyczyny.

Jeźli tego, co pisał Plutarchus, pan nie wie*).
To zapewne czytałeś Senekę o gniewie;
On mówi, że Antygon śród zimowéj słoty,
Gdy kazał wzdłuż obozu rozbijać namioty,
Zasłyszał, jak żołnierze źle o nim mówili,
Jakie siali potwarze; więc namiot odchyli,
Rzecze: moi kochani, idźcie trochę daléj,
Abym nie słyszał, gdy mnie będziecie łajali.
I ojcowie kościelni, święty Efrem w piątym,
A święty Cypryan pisze w rozdziale dziesiątym...*)
Florjan nie mógł wytrzymać; krzyknął: o właśnie,
Jabym jemu darował! niech go piorun trzaśnie!
I do pana, co w głowie masz takie foliały,
Przyszedłem po krytykę, a nie po morały.
Rzekł, chce odejść, lecz Stękosz za rękę go bierze:
Krytyki nie napiszę, lecz poradzę szczerze.
Pan swego przeciwnika staraj się gdzie dostać,
W kąciku będzie można skórę mu wychłostać.
Że taką za satyry dawano nagrodę,
To panu przykładami mnogiemi dowiodę.
Przez królowę francuzką Klopinel schwytany*),
Stał już nagi, i byłby rózgami smagany;

Ale dobrym konceptem wywinąć się umiał,
Jednak już nigdy potem satyrą nie szumiał;
Oldenburger zjeść musiał dwie kartek satyry*)
Nadto jeszcze odebrał kijów sześć i cztery.
Pope, chociaż zapierał, wziął porządne cięgi*),
Długo nosił na ciele ciemno-sine pręgi.
Sam Wolter, gdy był młody, nie uszedł zniewagi,
Za obrazę Rohana dostał tęgie plagi.*)
A gdy badania nasze zwróciwy wstecz wieków,
Więcej takich przykładów znajdziemy u Greków...
Już tego nadto było dla pana Florjana,
Nie dała mu krew dostać gorąco kąpana,
Wybiega na ulicę, myśli i układa.
Bo i on czasem myślał, co czynić wypada.
Ha! rzecze, chyba jeszcze pójdę do Długosza,
To krytyk zawołany, nie da mi odkosza!
Niechże cię Bóg prowadzi, kochany Florjanie,
Lecz nie wiem, czy się zadość twym życzeniom stanie;
Bo to nudziarz a pedant, jakich nie bywało;
Uprządł w myśli, że chlubą, że jest kraju chwałą,
Pozorem imponuje, bo słówka nie gada,
Wciąż patrzy w ziemię, niby tajemnic jéj bada;

Uśmiechu się wystrzega, jak Kato, lub Sylla
A czasu nigdy nie ma, każda droga chwila.
Zna coś fraszek, i myśli, że na nich świat stoi;
Czego nie zna, tém gardzi; a duma go poi
Mniemaniem, że bez niego brakłoby ogniwa
W tych promieniach, którémi oświata dojrzewa.
Pisma jego w dziennikach bywają chwalone,
Te pochwały nie jedną zalegają stronę;
Lecz chociaż bezimienne, łatwo można dociec,
Że tych krytyk pochwalnych Długosz sam jest ociec.
Gdy jeszcze mniéj był butny, pragnął należycie
Światu przedstawić, zjaśnić starożytnych życie;
Lecz gdy widział, że wszystko pracą znakomitą,
Co odkrytém być mogło, bez niego odkryto,
Zaczął żmudnie dociekać, co Grecy robili
Bez kawałka papieru, w téj potrzeby chwili,
W któréj nam zwykle służy papier zużywany,
Bo wiemy, że w ich czasach papier nie był znany;
I dociekł, że w takowych zdarzeniach nie rzadkich
Używali kamyków, rozumie się gładkich*).
Po tém ważném odkryciu, gdy mniemał, że sprostał
Böttigerom i Vossom, romantykiem został*).

Nuż gminne, narodowe wydobywać z pleśni,
Obrabiać i przerabiać karczmy godne pieśni,
Gdzie łotrostwa, hultajstwa, łupieże, grabieże,
Tak zwanéj poezyi były kwiaty świeże*).
I nie dosyć mu było zajaśnieć poetą,
Zabrnął w dzieje, lecz nie w te, których jest zaletą
Bogacić doświadczeniem, nie skąpić nauki,
Ale w te, co nam prawią same banaluki,
Co tam Plutarch, co Tacyt, niech Kadłubek żyje!
On nam rzeczy, tak mawiał, ważniejsze odkryje.
Bo myślał w kołowrocie dziwacznych przyzwoleń,
Że na tém stoi szczęście dzisiejszych pokoleń,
Wiedzieć gdzie, w jakim czasie, nad których rzek brzegiem
Tułackie hordy przodków stawały noclegiem.
Właśnie pisze, Słowianów początki wywodzi,
Wsiada na Szafarzyka, kiedy Florjan wchodzi.
Ten bystrém okiem przejrzał komnatę czémprędzéj,
A widząc cztery kąty, piec piąty, nic więcéj,
Stanął zaraz indykiem, z pańska kiwnął głową,
I już się chciał z kwiecistą popisać przemową,
Którą sobie po słówku na ulicy złożył;
Lecz cóż, kiedy zapomniał zanim drzwi otworzył.

Lecz geniusz nie opuszcza naszego Florjana
Nigdy, jako nie gaśnie latarnia Kardana*):
Choć ją na wspak przewrócisz, choć tarzasz po ziemi,
Ona zawsze ci świeci promieńmi jasnemi.
Ten geniusz Florjanowi i teraz poradził,
By powiedział czego chce, a zbyt się nie sadził.
Tak też zrobił, a ciągle literackie graty
Mając w oku, tém skończył, że da dwa dukaty.
Pan Długosz nic nie mówi, spuścił oczy w ziemię,
Po nad brwiami zawiesił wielkiéj chmury brzemie
I milczy, jakby słyszał o żelaznych wilkach.
Tymczasem Florjan czeka, stoi jak na szpilkach,
Nareszcie rzecz powtarza, żąda odpowiedzi.
Wtedy dopiero Długosz to słówko wycedzi:
Daruj pan, niesłyszałem, byłem zamyślony...
O nie o jednem musi rozmyślać uczony!
Więc Florjan po raz trzeci rzecz swoją wykłada,
A wtedy z cicha, zwolna Długosz odpowiada:
Wierz mi pan, jabym bardzo sam sobie ubliżył,
Gdybym się do krytyki téj ramoty zniżył.
Prawda, biorę ja dzieła pod rozbiór krytyki,
Lecz rozumie się ważne, naprzykład: kroniki.

Z tém wszystkiém mógłbym, gdyby nie brakło mi czasu
Napisać krótko: szkoda czasu i atłasu.
Ale ja nazbyt pracą jestem obarczony:
Mam listy do uczonych pisać na wsze strony;
Teraz właśnie rodowód Słowianów wywodzę;
Co pan mysli? ja w szranki z Szafarzykiem wchodzę,
Co tu z tego wyniknie, da się to obaczyć.
Gdyby czas, mógłbym nawet Homera tłumaczyć,
Choć po grecku żadnego nie rozumiem słowa,
Równie jak pan Bielowski, a więc rzecz gotowa.
Pan nie wierzysz? weź, czytaj literackie listy
Grabowskiego, tam znajdziesz dowód oczywisty*).
Ale pan może nie wiesz z kim masz do czynienia,
Bo geniusze nie noszą na czole znamienia;
Więc wiedz, jakiej ja cześci cieszę się haraczem,
Znamienitym poetą, słowiańskim badaczem
Nazywa mnie Załeski przez przeczucie wieszcze,
Bo Bogiem a prawdą nic nie zbadałem jeszcze.
Lecz moje materjały niech tylko poskładam,
Nowy okres w naukach światu zapowiadam.
A panowie myślicie, że my literaci
Mamy tak czas na zbyciu, jak pan marnie traci;

O! my czasem bicz z piasku ukręcić musimy*):
I tak ja dziś Józefa, dla większéj estymy,
Pisząc życie, muszę się dobrze zastanowić,
Coby tutaj powiedzieć, gdzie nie ma co mówić.
Tak to pracować musim i pracujem w pocie,
Inaczéjby niechybnie świat zginął w ciemnocie;
Dla tego u nas panie, droga każda chwilka,
Sądzę, że dosyć jasne tych moich słów kilka.
To mówiąc, siada zaraz, i już daléj pisze.
Florjan stanął jak wryty, wielkim gniewem dysze;
Tfu! splunął, trzasnął drzwiami, i daléj w zapale
Na wschody, na ulicę, aż stanął na wale,
Tu dopiero odetchnął, pot ociera z twarzy,
I na los swój przeciwny w ten sposób się skarzy:
Tom trafił, jak kulą w płot, a czy mnie kat nadał
Przez głupie wiersze będę dziś głową nakładał;
I tłukę się po mieście, jak Marek po piekle,
I drapię się na piętra jak gdyby na Hekle,
A wszystko nadaremnie, rodź tu babo dziecię
Kiedy baba nie może. Gorzkie moje życie!
Czyliż ja mogę z niczem powrócić do domu?
Pani żona łajania nie pościągnie gromu;

A darmojadzie! wrzaśnie, po co ja cię trzymam?
Nie dosyć, że wygody żadnej z ciebie nie mam,
A wiesz dobrze, jak bardzo potrzebuję nie raz;
Jeszcze nam w takiej fraszce nie usłużysz teraz?
Tak powie; ale mniejsza gromy tych tam huków,
Aby tylko od fuków nie przyszło do puków!
Bo jak mówią: kij znajdzie, kto pragnie psa obić;
A baba istny Herod! ale cóż mam robić?
Na czyim wózku siedzisz, tego piosnkę śpiewaj,
Panu Bogu służ wiernie, a djabła nie gniewaj.
Tak tam poczciwy Florjan narzekał półgłosem,
Ja sam ubolewałem nad tym jego losem,
Bo ze wszystkich tyranów najgorszym zła żona:
Oby kroplę pociechy wlał mu kto do łona!
Ale geniusz Florjana krzepi go nadzieją,
Myśl mu przyszła szczęśliwa, aż się oczy śmieją,
A całą pięścią plasnął tak potężnie w czoło,
Aż odgłos niby dzwonu, rozdał się w około.
Aj! zawoła w głos cały, jakież ze mnie ciele!
Co ja świecę oczyma tym półgłówkom wiele?
A jeszcze darmo! czemu nie pójdę do Leszka?
Leszek tęgą krytykę wydać nie omieszka.

4

Wszak do Wandzi cholewki pali pokryjomu,
Tak, tak ma się do Wandzi, choć jest żona w domu;
A wiec trzeba drzeć łyka dopóki się daje.
O z niego bicz prawdziwy na autorów zgraje!
I krytyk zawołany, bo świat wie, że Leszek
Wsze umnicze talenta zagarnął jak w mieszek;
Teraz z trybunału swego wyrokami strzela,
I komu chce odmawia, komu chce udziela.
Rozumu, prawda nie ma, lecz mu i nie trzeba,
Bo romantyk ma geniusz, tym wzbija się w nieba;
A gdy odpocząć raczy na ziemi padole,
Z tym geniuszem wypładza krytyki jak mole.
O już nie jednemu napędził on Piotra!
Potrafi upokorzyć i naszego łotra.
Ale z pieniędzmi teraz, cóż z pieniędzmi będzie?
Leszka zna pani żona; ha! trzeba w tym względzie
Jakoś ją wywieśdź w pole, to nic nie pomoże,
Mnie i djabeł nie wydrze, co raz w kieszeń włożę.
To mówiąc rusza w drogę; droga była krotka,
Lecz szła koło cukierni, woń uderzy słodka;
I jakże mógł nie wstąpić? woń była magnesem:
Wpada zatém, i cukry już zmiata obcesem.

O dziw to był, jak wszystko pożerał bez braku!
Tuby jemu nie zrównał żarłok z Tabalaku*).
Na tém polu z nim walcząc od wstyduby spłonął
Milon z Krotony; Aryst duszęby wyzionął*),
I na weselu, którém Potocki się wsławił*),
Taki gość drugim gościom nicby nie zostawił;
I pewnie z święconego, co Zamojski dawał
W Krakowie, byłby żaden nie pozostał kawał.
Lecz wreszcie gdy brzuch pełny a kieszenia prożna,
Pomiarkował, że dłużéj bawić tu nie można.
Idzie szumno, potrąca, kto się nie ustrzeże,
Bo nasz Florjan, gdy pełny, zaraz na kieł bierze.

PIEŚŃ TRZECIA.

Scaltrimenti, che un' anima schietta neppure indovina.

Margherita Pusterla di Cesare Cantu.

Was kaum auszugründen
Weiss ein Weib zu finden.

Rist.

Die Rache ist kein vergesslich Weib,
Sie dringt zwar langsam auf den Leib,
Allein mit desto schärferem Streiche.

Günther.

WEZWANIE LESZKA.

Jakąż to błędną drogą puszczam się w zawody!
Gdzie, choć stanę u mety, nie znajdę nagrody.
Ja nad zgubną przepaścią myślami się wieszam:
Lekce, jak groch z kapustą, fałsz i prawdę mieszam,
Ja śmiem moich spółbraci dobrą sławę mazać,
A wszystko, aby światu mój dowcip pokazać.
O niech przeklętą będzie taka próżna pycha,
Która mnie z tronu mojéj niewinności spycha!

Lecz niech równie przeklętą i ta złość zostanie,
Co mnie pchnęła w tę drogę, w ohydy otchłanie!
Mnie, co muszki nie zgniotłem, którym zbaczał z drogi
By nie zgubić robaczka pod ciężarem nogi;
Co się długo namyślał, gdym chciał uszczknąć kwiatek,
Bo i w kwiatku umiałem czcić życia zadatek.
Ale jeszcze nie wszystko, nie wszystko stracone!
O najmilsza z cór nieba, dla której dziś płonę,
Prawdo! odtąd już ciebie niech myśli me strzegą,
Ty będziesz moją Alfą i moją Omegą,
Ty mojém przykryciem i mojém wezgłowiem!
I dziś mówiąc o Leszku, prawdę tylko powiem.

Leszek za literata nie darmo uchodzi,
Że czyta, o tém najmniéj wątpić się nie godzi,
I tylko dzieła, którym daje miejsce pierwsze,
A te są: jego własne i proza i wiersze.
Któż mu to ganić będzie? wszak on wie najlepiéj
Co mu do smaku wpada, co mu ducha krzepi.
A wreszcie cóż ma czytać? alboż się dzienników
Nie dosyć już naczytał? a Koka tomików?

A Kupera? a Sanda? czegoż więcej trzeba,
Na kogo hojnie spłynął dar geniuszu z nieba?
Sprawiedliwie sam mówi: cóż czytanie nada,
Gdy człowiek wiadomości już wszystkie posiada?
Lecz choć nie czyta, za to pisze nieprzerwanie,
Pisze i w dzień i w nocy, co tylko sił stanie,
A choć myśli mu braknie, to kłopot nie wielki,
Kiedy zawsze słów zapas i dostatek wszelki,
Stąd też coraz się teki wzmagają przemożne:
Ot właśnie wygotował życiopisma różne,
Ale nie mężów sławnych cnotą lub nauką?
Iść w ślad Plutarcha, mówił, nie jest wielką sztuką!
Jego duch twórczy drogę wynalazł nieznaną,
Pisał o tych, co mieli jak najkrótsze miano.
O jakże się ucieszył, podskoczył jak ciele,
Kiedy na markiza O. trafił w jakiémś dziele*);
Już byłby pismo swoje wydał do dnia tego,
Lecz czeka, czy nie znajdzie nazwiska krótszego.
Pisze on i krytyki na pisemka świeże,
Ale gdy pisać siada z prawdą rozbrat bierze,
Prawdą natenczas jego tak się brzydzi dusza,
Jak harmonią muzyki ucho Lipsyusza*);

Prawidło sumienności wcale go nie mami:
Geniusze, romantycy gardzą prawidłami!
Kto lepiéj jak on pisze, zaraz lakonicznie
Potępi go, oczerni, z błotem zmiesza ślicznie;
A zawsze bezimiennie głosi sąd surowy,
Tak kat na Anglów ziemi w masce ścina głowy.
Że styl ma twardy, ostry, w tém dlań korzyść słodka,
Która już z innych względów pewnie go nie spotka,
Bo przez miłość bliźniego tutaj się ostrzega,
Pism jego nie używać tam, gdzie i król biega;
Możnaby się poranić takiemi ościami,
Jak się poranił papież Liceta pismami*).
Rozmowa jego wtedy żywości nabiera,
Gdy się o jego prozę i wiersze ociera;
Ale Parafiańszczyzną najwięcéj się chwali*),
Co kelnery w hotelach gościom narzucali.
I nie masz bo co mówić, wzbiła go w zaszczyty,
Widocznie do satyry ma dar znakomity;
Prawie na każdéj kartce widać mnogie ślady,
Jak trafnie umie zbadać i wyszydzić wady:
Niech kto naprzykład kołnierz z pod chustki wystawi,
Zaraz go kołnierzowym łaskawcą rozsławi:

Nie jestże to dowcipnie? kto inaczéj sądzi,
Lub to czyni przez zazdrość, lub w ślepocie błądzi.
Prawda, że czasem na świat ze swojéj wyżyny
Za ostre rzuca ciosy, lecz nie bez przyczyny:
Gdy gromi wielkich panów piórem rozchełznaném,
To ztąd pochodzi, że sam nie jest wielkim panem;
A Czepkowi ekwipaż wymiata na oczy*),
Bo Czepek lepszym jak on po bruku się toczy.
Tymczasem są to płody odpoczynku chwili,
Zwykle Leszek na rzeczy ważniejsze się sili;
Zapuszcza myśli w badań nieprzebrnione knieje.
I tak pragnął niedawno zbadać, czém się dzieje,
Że ty naturo, szczodra i bogata matko!
Przecie wielkie geniusze dajesz światu rzadko.
Zagadka to nie lada, każdy tu się zgodzi,
A przecie Leszek zbadał, że to ztąd pochodzi,
Bo natura dla niego chowała w zapasie
Wszystkie skarby; więc wniosek: że po jego czasie
Do dnia ostatecznego na ziemi obszarze
Już się żaden a żaden geniusz nie pokaże.
Takie Leszek o sobie mając przekonanie,
Poznał razem i wielkie swoje powołanie;

Cały tchnąc Filantropią chce świat uszczęśliwić,
I jakiém twórczém dziełem potomność zadziwić.
Jego znajomi, którym powierza się szczerze,
Mówią, jednak ja temu niezupełnie wierzę;
Że raz od kogoś słysząc, jak różne odkrycia
Coraz podnoszą wdzięki i wygody życia,
Gdy go mocno zajęło i zdziwiło razem,
Sztuczne londyńskich nocy oświetlenie gazem,
Zaczął przemyślać, czyby podobném nie było
Znaleść światło, coby dzień jaśniejszym robiło.
Drudzy mówią, że nie w to bił myślą daremną,
Lecz chciał kolej prowadzić przez wodę śródziemną.
To pewna, że ot właśnie chodził wielkim krokiem
Po sali, coś rozbierał myśleniem głębokiém.
Lecz gdy dumał pogrążon w otchłanie swych badań,
I silił się rozwiązać węzeł wielkich zadań,
Wchodzi Florjan z szelestem, z obu stron witanie:
A, jak się masz? dwa głosy zbiegły się baranie.
Tymczasem Florjan sobie naprzód postanowił,
Że o krytyce wierszy nic nie będzie mówił,
Tylko Leszka do Wandy przymówką wyprawi;
A tak sam się u niego niedługo zabawi,

Jeszcze skoczy na wistha, właśnie w dobréj porze,
Grosza nie ma przy duszy, nic przegrać nie może,
A gdy szczęście posłuży, to się coś zacapi.
W tym celu zaraz z taką wymówką się kwapi:
A Leszku, czyż się godzi? od tak dawnéj pory
Ciebie u nas nie widać, myślałem, żeś chory;
A ty jak borsuk w jamie tu w papierach siedzisz.
Czyliś nas przestał kochać, że już nie odwiedzisz?
U mnie wszyscy o twoje niespokojni zdrowie;
Wandzia... „cyt! syknie Leszek, tam żona w alkowie!"
A Florjanowi śmiéchem zbrózdziły się lice:
Cha, cha! szepnie; uderz w stół, ozwą się nożyce.
No, no, tylko mi odwiedź żonę, pasierbice,
Już ci się ten raz twoja niepamięć przebaczy.
Jemu na to w ten sposób Hrabia się tłumaczy:
(Zapomniałem powiedzieć że nasz Leszek hrabia,
Lecz to szacunku mego zgoła nie osłabia:)
Mój drogi przyjacielu, nie brak to pamięci,
Ale maleńka podróż przeszkodziła chęci.
Ja byłem na wsi z Jaxą przez parę tygodni;
I na wsi czasem nie źle. Tam oba swobodni

Chodząc to po zaroślach, to po nad strumykiem,
Zbogacaliśmy teki nie jednym wierszykiem:
On fraszki i niefraszki, ja szczytne sonety
Składałem w rymy gładkie i nie bez zalety.
Tak pisząc na wyścigi czas nam jakoś zbiegał,
Ale w końcu mój Jaxa na wyjazd nalegał;
Teraz, gdym już cokolwiek odpoczął z podróży,
Przyjemności wam służyć nie chcę zwlekać dłużéj;
Zaraz się zbiorę, pójdę, winnym się ogłoszę,
I śliczne panie ślicznie za zwłokę przeproszę.“
A więc do zobaczyska, przyjacielu drogi!
Wrzaśnie Florjan, ja jeszcze muszę trudzić nogi:
Zaproszonym do Xięcia, lecz się nie zabawię,
Bo przyjemniéj u siebie z tobą chwilkę strawię.
Tak rzekł, i już odchodzi, już znika w ulicy;
Znika, a mojéj na płacz zbiéra się źrenicy,
Już on się tu na scenie więcéj nie pokaże;
Jakże bez niego daléj śpiewać się odważę?
On moją pieśń ożywiał, jak trawkę grot słońca.
Bez niego nudnie, ckliwie popłynie do końca.
Ale ja tuszę sobie, o zacny Florjanie!
Że to jeszcze nie będzie ostatnie rozstanie:

Ty zapewne przeskrobiesz, ty spłatasz coś jeszcze,
A światu dla zabawki ja to w rym umieszczę.

Tymczasem nasz pan Leszek frak na siebie wdziewa,
Jakiemiś pachnidłami cały się oblewa,
Muska włos, aby gładko leżała czupryna,
Kryguje się do lustra, wdzięczy się, wygina,
Aż kontent, sam do siebie śmiejąc się przyjemnie,
Ani słowa, zawoła; tęgi chłopiec zemnie!
Pewnie jeszcze nie jedna dla mnieby pałała
Ale cóż, kiedy żona... ah to bieda cała!
To mówiąc wziął kapelusz, rękawiczki białe,
Iście szarmant, na miasto poniósł kroki śmiałe.

A Wanda... ach, to imie dźwięczy jak muzyka!
Nawet z méj suchéj piersi z harmonją wynika;
Wanda siedziała w swoim pokoiku sama,
Bo z Izą na wizytę pogoniła mama;
Wanda mówię siedziała w oknie osłonionym,
Kiedy zbliżał się Leszek krokiem przyspieszonym;

Spojrzy z po za firanek, zaraz go postrzegła,
I skwapliwie robótki i okna odbiegła,
Rzuca się w krzesło, smutną przybiera postawę,
Trze sobie śliczne oczy, aby były łzawe;
Chustkę swoją z namysłu na ziemię uroni,
A kształtną główkę składa niedbale na dłoni;
Tak siedzi nieruchoma, niby w myślach grzebie.
Wtém wszedł Leszek, lecz Wanda nie spojrzy za siebie;
On podchodzi na palcach, chustkę jéj podnosi,
Stanie, patrzy i widzi, że łza lice rosi;
Wtedy zawoła z żalem, jak aktor na scenie:
Co widzę? o dla Boga! pani masz zmartwienie?
Cóż to łezki wyciska na tych jagód róże?
Czyż przyjaciel podzielić tych żalów nie może?
A Wanda: ach, pan Leszek! o muszę przeprosić,
Że mnie pan tak zastajesz; ale mam co znosić!
Jednak smutku, co teraz méj duszy tyranem,
Niemam wcale powodu ukrywać przed panem.
Proszę siedzieć... tu z krzesłem przysunąć się z bliska
Nie mogę mówić głośno, żal piersi mi ściska.
To mówiąc łzy ociera chustką batystową,
Niby pragnie odetchnąć, aż zacznie na nowo:

Wiersze: Wanda i kwiaty znane panu pewnie?
„Nie“ odpowie; a Wanda ciągnie daléj rzewnie:
Więc autor, nazwy jego spamiętać nie mogę;
Wywiera na mnie swoją złość i zemstę srogę,
A za co? żem niechciała, nie mogła go kochać.
Szalony! przerwie Leszek to powinien szlochać!
Ach! uśmiechnie się Wanda; do tego za stary.
Tymczasem to rzecz pewna, kochał się bez miary,
Kochał się, mówię panu, jak jaki młodzieniec,
Aż w końcu, gdy grochowy dostał mu się wieniec,
Pisze, patrz pan, drukować każe u Pillera
Wiersze, gdzie się nietylko swych uczuć zapiera,
Nietylko te dość skąpe wdzięki me poniża,
Nietylko ucinkami, satyrą ubliża,
Ale nawet śmie dawać nauki, morały.
A z powagą, jak jaki Mentor zaufały.
Uważ pan, jakto musi rozdzierać mi łono,
Tak bez najmniejszéj winy zostać obrażoną!
Taką skargę gdy czule śliczna Wanda wniesła,
Umilkła, a pan Leszek porywa się z krzesła:
Świętokradztwo! zawoła; cóż to za zuchwalec!
To nie musi być człowiek, to jakiś padalec!

Wart po uszy brnąć w piekle, za taką złość wściekłą.
Ach! westchnie Wanda, ale któż go pchnie w to piekło?
Piekłem stałby się jemu sąd ostréj krytyki,
Coby na miazgę jego zdeptała wierszyki;
Bo wiem, to sztuczka próżna, jak pochwały chciwa,
Tak na każdą naganę niezmiernie draźliwa.
Ale cóż? ja się na to nigdy niezdobędę,
I tak z tą krzywdą moją na koszu osiędę.
O nie! zawoła Leszek; jeźli o to chodzi,
Zaraz napiszę taką jaka mu się godzi.
Wszakże pani już moją znasz Parafiańszczyznę?
Więc wiesz, jak niezleczoną umiem zadać bliznę;
Już to dowcipu pewnie nikt mi nie zaprzeczy,
Umiem dobrze oceniać i wyszydzać rzeczy;
Mówią: jakiś Cervantes karcił śmieszne cele *)
I że Lucyan: Rzymianin, miał dowcipu wiele, *)
Że jakiś Swift, Rabener.... lecz ja się założę *)
Że z nich żaden w dowcipie mnie zrównać niemoże.
Niechno tylko bicz mojéj krytyki go skropi,
Sam pozna, że się wyrwał jak Filip z Konopi.
Tak rzekł; a piękna Wanda mocno ucieszona,
Składa rączki w podziękę, i rzecze spłoniona:

O gdybyś pan to zrobił, będę wdzięczną wiecznie!
Tak mówiła i znowu skłoniła się grzecznie:
Wtedy Leszek westchnąwszy, jak rycerz ballady,
Rzecze z całym umizgiem światowéj ogłady:
Może wtedy się zbliżą te usta różane,
Może wtedy od pani całusek dostanę?
Rzekł i wdzięczy się bardzo i przymiła oczy,
Ale Wanda na całe trzy kroki odskoczy;
Wstyd dziewiczy na twarz jéj śliczne wysłał róże,
O przenigdy! zawoła; to się stać nie może.
Lecz Leszek niezmieszany najtkliwiéj spoziera
Jak dziecię gwiazdki z nieba, ciągle się napiera:
Wszak to grzechem nie będzie, a mnie uszczęśliwi.
Pani wiesz, jakie czucie serce moje żywi,
Czyż nigdy oko twoje litością nie błyśnie?
Nawet wtedy gdy k'temu potrzeba cię ciśnie?
„Raz: królestwo za konia!“ wołał Ryszard trzeci; *)
Niechże i z twych usteczek to słówko wyleci:
Całusek za krytykę! pewność takiéj płacy,
Ożywi moje siły, zapali do pracy:
Bez téj nadziei nie wiem czyli mi się uda,
Przynajmniéj nie zaręczam, że to będą cuda.

A Wanda pomyślawszy, a więc dobrze, rzekła;
Całusek za krytykę! i znów raczka spiekła;
Lecz nie przody aż będzie krytyka gotowa,
A proszę, aby była, ostra i surowa;
I to pan także napisz, że kochał się wemnie,
Tylko już pomiarkował, że to nadaremnie.
Dobrze, odpowie Leszek; więc jutro o wschodzie
Czekam w pojezuickim na panią ogrodzie;
Tam w cieniu odczytawszy wszystko bez przeszkody,
Będę się natarczywie domagał nagrody.
Po tych słowach chce odejść, lecz Wanda go wstrzyma:
A książeczki nie trzeba? wszak pan w domu niema,
A musisz ją odczytać. Lecz Leszek z uśmiechem
Powie: nie słuchać pani, byłoby to grzechem!
Ale gdy już znam tytuł czytać niekoniecznie,
Bez tego krytykować możemy bezpiecznie.
Wanda się zapatrzyła, i niby nie wierzy,
Aż jéj Leszek rzecz całą w dowodach rozszerzy:
O to rzecz bardzo łatwa, powszechnie przyjętą,
I już do wysokiego stopnia posunięta;
Tylko krytyk, nim jeszcze groty swoje ciska,
Niech od razu z wyższego zacznie stanowiska;

O teoryi sztuki niech rozprawia śmiało,
Niech i brzmiących wyrazów rozrzuci niemało,
Naprzykład: twórczość ducha, umnicze talenta;
Tem umysł niemyślących ujmuje się w pęta.
Takie, gdy mądry krytyk uczyni zaczęcie,
I zręcznie uda wyższe o sztuce pojęcie,
Już mu potem nie trzeba wdawać się w szczegóły,
Dość powiedzieć: to liche lub szkoda bibuły!
I położyć autora z osłami na szali,
Zaprzeczyć mu talentów, czucia i tam daléj.
To mówiąc, bierze książkę, rączkę pocałuje,
Skłoni się, i już lekko po wschodach szczebluje.
Ale Wanda z pokoju skwapliwie wybiega,
I jeszcze raz powtarza, najżywiéj nalega:
Tylko proszę, napisz pan, że się kochał we mnie,
I że jeszcze się kocha, ale nadaremnie.

I wróci do pokoju na stu koniach właśnie,
I aż teraz dopiero w rączki sobie klaśnie,
I na jednéj się nóżce okręci trzy razy,
Tupnie potém, i temi pogrozi wyrazy:

A co? bratku-poeto! czy jeszcze złość dysze?
Oj podobno szeroko o tém Dawid pisze!
Teraz strachy na Lachy, ni w lewo ni w prawo,
Przepadłeś nieboraku, jak Szwed pod Pułtawą!
Tak wołała, i w szybę spojrzała zwierciadła,
I wraz do fortepianu z uniesieniem siadła:
Drobna uczona rączka na klawisze wpada,
W melodyjne akordy dźwięk po dźwięku składa,
Do tych dźwięków głos czysty w lubą zgodę skłania,
Głos, co mi jeszcze w uchu z dni dawnych podzwania,
Gdy duszę rwała ze mnie, w siódme niosła niebo....
Ach! czyż to było dla mnie konieczną potrzebą
Stać tam, słuchać i patrzeć i spokojność stracić*),
Jednę chwilę rozkoszy tak drogo zapłacić?
Ten głos luby i teraz dźwięczną falą płynie,
I taką, o słuchajcie! piosenkę rozwinie.

I.

Jak to dobrze być tak ładną!
Albo prosto, albo boczkiem
Takiém ślicznem strzelać oczkiem
Czy się śmieję,
Czy łzę leję,

Tak i tak wdzięk załechce;
I kto chce, i kto nie chce,
Wszyscy w moje siecie wpadną.

Moje oczka wszystko mogą,
Dadzą życie, zgubią trwogą,
Niemi zjaśniam, zchmurzam twarze;
Otóż tak chcę, i dokażę!

II.

Nuż tygrysy, lwy ogromne,
Chodźcie bliżej, ja tu stoję,
Patrzcie, ja się was nie boję:
Oczkiem błysnę,
Oczkiem cisnę,
A gdzie lwy? gdzie tygrysy?
To nie lwy, nie tygrysy,
To baranki u nóg skromne!

Moje oczka wszystko mogą,
Dadzą życie, zgubią trwogą,
Niemi zjaśniam, zchmurzam twarze;
Otoż tak chcę, i dokażę!

III.

Świećcież długo, świećcie wiecznie
Moje oczka promieniste,
Wy figlarne, żywe, czyste!
A kto dumny,
Nierozumny,

Czy szczerze, czy nieszczerze,
Taki wdzięk lekce bierze,
Słuchaj, słuchaj: niebezpiecznie!

Moje oczka wszystko mogą,
Dadzą życie, zgubią trwogą,
Niemi zjaśniam, zchmurzam twarze;
Otóż tak chcę, i dokażę!

PIEŚŃ CZWARTA.

Herr Professor, hör er doch an,
Was hab' ich armer Teufel gethan?
Da ich letzt einmal los gewesen
Dass er seinen Kunstrichter—Besen
Als ein grosser baumstarker Knecht
Nach mir geworfen? das war nicht recht.

Rost an Gottsched,

Któżby nie był posłusznym, kiedy mu kochanka ze słodkim powie uśmiechem: uczyń to dla mnie. Takie posłuszeństwo wywzajemnia się.

Leszek Borkowski.

SCHADZKA W OGRODZIE.

We Lwowie pod ratuszem siedzą bab tysiące,
Przedają sér, śmietanę, toż grzyby pachnące,
I jaja i kurczęta i rzodkiew i raki
I marchew i pietruszkę i suche smolaki;
Siedzą w gęstym natłoku, lecz siedzą spokojnie,
Ani tu słychać kiedy o kłótni lub wojnie;
Jedna drugiéj nie zajrzy pomyślnej przedaży,
Każda czeka cierpliwie, co los jéj nadarzy.

To prawda, że tu czasem gwar większy powstanie,
Ba nawet nieposlednie ozwie się łajanie,
Lecz tylko na kucharki, lub na jaką panią,
Co to gada z partesa, a chce kupić tanie;
Ze sobą siedzą w zgodzie, gwarzą nieobłudnie,
Aż się do domów swoich rozejdą w południe.
Rownie i w Ułaszkowcach szewcy rzędem długim *)
Siedzą przy nowych butach jeden tuż za drugim,
I choć wszyscy tym samym szczycą się towarem,
Nie słychać, by się kiedy rozdwoili swarem.
Tylko ci, co to płody głów swoich przedają,
Nigdy a nigdy sobie pokoju nie dają;
Jeden drugiemu zajrzy rozumu wyższości,
Oczytania, talentów, lub sławy zazdrości:
Nuż prace swojéj braci poniżać przed światem,
I często ochrzcić chwastem, co wyrosło kwiatem.
Jeszcze to mniejsza, kiedy rozum bardzo mglisty
Rozbryka się i pragnie wydrwić rozum czysty;
Gorzéj, gdy ci, co winni szacować się wzajem,
Kłócą się, i kąsają, jak gdyby za najem.
Tak się kąsali spólnie Maupertuis z Wolterem *)
Newtoniści z Leibnitzem, a Heeren z Herderem *)

Jużci piękna to walka, i walczyć się godzi
Z wszystkich sił poświęceniem, gdy o prawdę chodzi:
Ale kto chce usunąć, co blask jéj zasłania,
Czyliż nie może tego zrobić bez szczypania?
Alboż dowód zużyte, niezdatne narzędzie?
A ucinek złośliwy argumentem będzie?
Toż prawda, córka nieba i podobna słońcu,
Zamieszkała już teraz na przycinków końcu?

O jak pięknym widokiem jest uczony, który
Życie oddał poznaniu siebie i natury,
Zbogacił rozum długich wieków doświadczeniem,
Chwycił, co uciec chciało przebieżném zjawieniem,
W dawno zgasłych narodów wpatrywał się lice,
Siłą ducha w przyrody wniknął tajemnice,
Umiał znaleść, rozwiązać przepaskę dziewiczą,
I nie przylgnął do żadnéj formy niewolniczo;
A wciąż posuwał wiedzę, znój poczytał za nic,
Aż stanął u ostatnich ludzkiéj wiedzy granic.
Lecz nie dość! razem z umem kształcił serce swoje,
Trzymał na silnéj wodzy żądzy niepokoje,

Panował namiętnościom, póki nie umorzył;
Miłości Boga, bliźnich tron w sercu założył;
Nie wie co to zuchwale podnosić się w dumie,
Wiele drugim, nic sobie pobłażać nie umie;
Prawdzie, zkąd bądź przychodzi, pierwszy hołd nieść
spieszy,
Cudzém wielkiém odkryciem jak własném się cieszy;
Bo gdy jedynie dobra powszechnego pragnie,
Nigdy serca w zazdrości nie zanurzył bagnie.
O! chociaż w niezmierzony przestwór się rozdyma,
Piękniejszego widoku cała ziemia niema!

Ach, takim ja nie jestem! lecz jeszcze mniéj Leszek.
Ten przyjaciel od serca, kłótni i zamieszek.
Właśnie wrócił do domu w różanym humorze,
Puścił myśl rozbujałą na marzeń przestworze:
Dalibóg, rzecze; choć to dla mnie rzecz nie rzadka,
Jednak teraz przedziwna trafia mi się gratka!
Już to niema co mówić, być wielkim autorem,
Jest to prawdziwém szczęściem, nie próżnym pozorem:

Albo sława nas wieńczy, lub piękność nam płonie,
Często nawet oboje odbieramy w plonie.
O ja nie marną rzeczą dziś w myśli się pieszczę!
Całusek, to nie fraszka, a od Wandy jeszcze!
Z całuskiem poufalsza znajomość się klei,
Całusek jest to szczebel do dalszych nadziei;
A krytyka... to u mnie jak wytrząsł z rękawa,
Zwłaszcza z takim pisarkiem, to nie trudna sprawa.
I cóż? a choć w prędkości źle się nasmaruje,
Tygodnik literacki zawsze wydrukuje. *)
Tak się unosił Leszek nadziei urokiem,
Trze ręce, i przez pokój chodzi szybkim krokiem;
W tem widzi, na zachodzie już się coraz mroczy,
I xiężyc z chmur powiewnych wygląda przezroczy.
Spuścił firanki lśniące purpurą zieloną *)
Hej! krzyknie na głos: świece! i już świece płoną:
I zapalił cygaro, dym jak Etny ziewa,
Ściąga frak i przepyszny swój szlafrok zawdziewa.

O szlafroku złocisty! przez grzeczność dla Leszka
Śpiewać kiedyś o tobie mój rym nie omieszka;

Podam światu całemu twe sute zalety,
Twoje perskie zygzaki i złote bukiety!
Bo już dawno Hrabiego pokusa napada
Pokazać światu jaki on szlafrok posiada;
Dla tego okutany, o promieni wschodzie
W nim się po jezuickim przechadza ogrodzie,
Lecz Hrabia po zarankach daremnie się trudzi,
Albowiem o téj porze nie wiele tam ludzi;
Aż mu wpadło do głowy, a kontent był cudnie,
Aby się w nim pokazać na rynku w południe;
Już i dzień był obrany, ale Bóg wie, czemu
Dotąd zadość nie zrobił zamiarowi swemu;
Jedni mówią: sam poznał, że to niewypada;
A drudzy: że przyjaciół odwiodła go rada.

W ten szlafrok przyszłéj sławy teraz się ubiera,
Z wielkiem ukontentowaniem po sobie spoziera,
Zamyka drzwi by kogo licho tu nie wniesło,
I rzuca się jak długi w poręczowe krzesło,
W to samo, które często widać na balkonie,
Dla tego, że paradnym adamaszkiem płonie.

Tak sobie Leszek siedząc wygodnie, swobodnie,
Spojrzał na książkę w mowie jak na jaką zbrodnię,
Nareszcie wziął do ręki i czyta. O biada!
Twój los, biedna książeczko, łezkę mi wykrada.
O! bodaj nigdy książka nie wpadła do ręki,
Lub jeźli wpadnie, niechże wydrze się przez dzięki,
Temu, który nic więcej jak usterki łowi,
Albo wszystko potępić naprzód postanowi;
Kto w tak przewrotnéj myśli książkę bierze w dłonie,
Zapewne ma i serce na przewrotnéj stronie*);
I kto go czytać uczył, długo czy niedługo,
Lepiéj byłby uczynił bawić się z papugą.
Tak właśnie czyta Leszek. Ale cóż się dzieje,
Że dotąd tryumfalnym śmiechem się nie śmieje?
Owszem coraz mu mocniéj twarz blada się chmurzy,
I zapowiada gromy jakiejś wielkiéj burzy.
Otóż macie! porwał się, gniewném okiem błysnął,
I książeczkę w najdalszy kąt pokoju cisnął.
Co? zawoła, i w kułak złoży dłoni dwoje,
Co? zakrzyknie, te wiersze lepsze niźli moje?
Ja myślałem, że wszystkie talenta umnicze,
Całą sztukę pisania sam tylko dziedziczę,

A tutaj jakiś Pajgert, Bóg wie co za jeden*),
Będzie tych słodkich myśli rozburzał mi Eden?
O tego nie daruję! darować nie mogę!
Dam ja mu po tybinkach, aż zadzwoni w trwogę*).
Toż nie dosyć, że Alfred więcej dóbr posiada?
Że furman Czepka lepsze rumaki zakłada?
Że gdzie stroję zaloty, Szczypka mnie odsadzi?
Że w salonach, na balach inny rej prowadzi?
Że słyszeć muszę Fredrze oklaski dawane,
Aż nieraz rozwolnienia żołądka dostanę?
Że tak z każdego względu tracę miejsce pierwsze.
Jeszcze ten bazgracz będzie lepsze pisał wiersze?
Już to lepsze nie lepsze, ale takie prawie,
Lecz i za to gorącą ja mu łaźnię sprawię!
Tak się zżyma pan hrabia, szklankę wody łyknie,
Spojrzy na książkę w kącie, i na nowo krzyknie:
A patrzcie go, jak dumnie sam o sobie gada,
Że ma muzy po sobie, chełpliwie powiada.
Głupiec z muzami swemi, te dziś nie na dobie,
Redaktorów, nie muzy trzeba mieć po sobie;
Cały sekret autorski: ręka rękę myje,
Tém sława nasza wschodzi, tém rośnie i tyje.

Więc i ta się chełpliwość jemu nie upiecze,
Popłacze ruski miesiąc, i muz się wyrzecze.
To mówiąc, gdy czas naglił, siada do pisania.
Myśli głęboko, pisze, ważną głowę słania,
Myśli, i już paznogcie u palców pozgryzał,
Aż wreszcie pasmo pisma słowami nanizał;
Co nanizał natychmiast głośno deklamuje,
A co koma z tryumfem wielkim wykrzykuje:
To przednio! doskonale! ha, ha, wyśmienicie!
A tom go tęgo palnął! to mu wydrze życie!
I tak kontent, wstał z krzesła, utarł swiecom nosy,
Spojrzał, patrzy na swoich rękopismów stosy,
Serce mu rośnie chlubą na widok wspaniały,
I w słowa prą się myśli, co w duszy zawrzały:
Po co mnie tak niewcześnie gniewem kipią żyły?
Wszak te wiersze do moich, ani się umyły;
O daleko, daleko! mnie te dzieła moje
Wieczną chwałę zjednają, ściągną pochwał roje;
I gdybym nawet więcéj pióra nie umaczał,
Umierając, o sławie nie będę rozpaczał.
Bo mój Dominik zaraz publiczności powie*)
Jakie to arcy-dzieła ja już miałem w głowie:

Że czego nie wiedziano od dwudziestu wieków,
To ja z dzieł wybadałem nieśmiertelnych Greków,
I już te nowe skarby byłbym na świat złożył,
Ale prześliczne plany zgon wczesny umorzył.

Wzruszył się czuły Leszek tą myślą o grobie,
I już sentymentalnie chciał podumać sobie,
W tém spojrzy na zegarek, patrzy, północ będzie,
Więc się rozebrał, w puchy utonął łabędzie,
I zasnął snem łagodnym, bo mu w głowach stały
Dzieła jego, i wieczną sławę mu śpiewały:
Tu pseudo-ukraińskie wył mu kozak dumy,
I jakieś orły grały w próżne wiatru szumy.
Ale gdy dnieć już miało, sen nie był tak słodki*),
Członki drgać mu zaczęły, i oddech był krótki,
Twarz gorączką pałała, pot lał się strumieniem;
I nie dziw, by dręczony okropném widzeniem:
Zdawało mu się we śnie, że ma skrzydeł dwoje,
Zachciało się podróży, wyszedł za podwoje,
I wzniósł się pod obłoki, ku wiatrów mieszkaniu,
I leciał z niemi, leciał, aż stanął w Poznaniu.

Noc była, ale widno, chodzi po ulicy,
Aż się do jakiéjś staréj zbliży kamienicy.
Tu słyszy rejwach wielki, mnóstwo ludzi biega,
Jeden wnijśdź bardzo prosi, a drugi ostrzega;
Leszek wchodzi.... o przebóg! co za widok smutny!
Serce jemu rozkrwawił taki cios okrutny,
Jego przyjaciel wierny, dusza jego duszy,
Co mu wdzięczne pochwały nieraz dzwonił w uszy
T y g o d n i k l i t e r a c k i niemocą złożony*),
Na swém lichém posłaniu kona rozciągniony!
Już go dreszcze porwały nieprzespanéj nocy,
Wyciąga ręce, żebrze litości, pomocy,
Ale go samych głupców otaczają tłumy,
A coby pomódz mogli, stronią jak od dżumy;
I skonał! a wtém Leszek z piersi krzyk wyrzucił
Tak silny, przeraźliwy, aż się nim ocucił.
Zerwał się, przetarł oczy, trze sobie i czoło,
Patrzy, a tu oknami dzień wziera wesoło.
Więc raźno, choć sen przykry wielce go zasmuca,
Choć i przeczucie trwoży, w odzienie się rzuca,
Bierze wczorajsze dzieło, idzie do ogrodu,
A tu pod drzew sklepieniem, śród rannego chłodu.

Chodząc i tam i nazad najdłuższą ulicą,
Czeka rychło mu lube oczęta zaświecą.

A te lube oczęta brzask także otwórzy,
Budzi się Wanda, patrzy, a tu już dzień duży!
Więc w koszulce... stój, pioro! dosyć tej swawoli;
Moja wieczna cześć dla niej nigdyć nie pozwoli
Schodzić ją tak w koszulce, przestrachu nabawić,
I jej dziewiczą skromność o raczka przyprawić;
Dość powiedzieć, że była ubrana za chwilkę,
Już śliczną kibić w czarną wsunęła mantylkę,
Już parasolik w ręku, kapelusz na głowie,
Tak przystąpi do Izy, i budząc ją powie:
Luba Iziu! ja właśnie idę do ogrodu,
Ale nie dla widoku, ani też dla chłodu,
Tam Leszek ma mi czytać swój wyrok surowy,
Napisany na tego wieszcza pustej głowy,
Co się złośliwie z twego śpiewania naśmiewał.
A ciebie, przerwie Iza; kokietką nazywał!
O! powie Wanda; za to weźmie teraz cięgi;
Już to Bogiem a prawdą, Leszek krytyk tęgi;

Lecz za krytykę żąda całuska odemnie,
Ot koncept z kalendarza, ale to daremnie!
Ja go całować niechcę, więc przez miłość Boga,
Nadejdź ty tam po chwili, moja Iziu droga!
Twoje przyjście niezłomną przeszkodę zastawi,
I mnie duszko z wielkiego kłopotu wybawi.
Dobrze, dobrze, mruknęła Iza na pół senna;
A do ogrodu Wanda pospiesza promienna,
Promienna w każdéj chwili, lecz teraz tém bardziéj,
Gdy tryumf zemsty w oczkach rozstrzela się hardziéj.
Pospiesza lekkim krokiem, ciekawością szparka,
I w cienistéj ulicy już schodzi się parka.
Po zwykłym: bon jour, bon jour ukłonach i dygach
I po kokietujących z Leszka strony migach,
Dziś, odzywa się Leszek: śmiało panią witam,
Krytyka już gotowa, i zaraz przeczytam,
Lecz ją dzisiejszą pocztą spiesznie wysłać trzeba;
Miałem sen bardzo straszny, okropny, o nieba!
Gdyby tak było, gdyby Tygodnik już nie żył,
Komuż jabym do druku tę pracę powierzył?
Bo niestety! przez zazdrość, cokolwiek napiszę,
Nikt wydrukować niechce, tylko towarzysze.

Rzekł i zwitek papieru wyciąga z kieszeni,
Smutku wyraz na uśmiech szyderczy zamieni,
I rzecze: spodziewam się, że wygrana nasza!
I wraz krytykę z pewnym akcentem wygłasza:
Czyta, coraz to w żywszą deklamacyę wpada,
Oczy iskrzą, na ustach ślinka mu osiada.
I dziwy, wszystkie ptaszki bezsensem spłoszone,
Jak wymiótł cały ogród, uleciały w stronę;
Nawet pieski, co w trawie igrały z roskoszą,
Znudzone próżnym głosem cicho się wynoszą;
Tylko sroczka została, usiadła na lipie,
I kontenta czasami do taktu zachrypie.
On czyta; często zérknie na Wandę miłośnie,
A Wanda słucha, Wanda jak na drożdzach rośnie,
Serduszko drga gwałtowniéj, radość strzela z twarzy,
Lecz z wykrzykiem podziwu ozwać się nie waży,
Bo wie dobrze, niech jedném słóweczkiem pochwali,
Leszek przestanie czytać, będzie chwalił daléj.
Aż dopiero gdy skończył ślicznie mu się skłoni,
Bardzo dziękuję! srebrnym głosikiem zadzwoni;
A potém doda wdzięcznie: otóż to krytyka!
Ręczę, już się drugi raz nasz wieszcz nie rozbryka;

Teraz jak niedźwiedź w jamie będzie łapę lizał,
Po tych plagach nie sądzę, aby się odgryzał.
Lecz między nami mówiąc pan pewno niemyślisz
Że wiersz jego tak lichy? tylko tak tu kreślisz *)
I dobrze czynisz, aby jego pychę skarcić;
O już on tą nauczką nie będzie śmiał gardzić!
Przyszła koza do woza, jak mówi przysłowie.
A nasz Leszek szczęśliwy z umizgiem odpowie:
Cieszy mnie to, że Pani dogodziłem chęci,
Ale i obietnicę przywołam pamięci....
O chciej mnie czarodziejko! uszczęśliwić teraz,
Daj całusek, którego pragnąłem już nieraz;
Bo jak kiedy widzimy, że kto zjada wiśnie,
Nam ślinka nawałami do gęby się ciśnie;
Tak ja zaraz pragnienia całusków dostanę,
Skoro spojrzę na twoje usteczka różane.
Struchlała biedna Wanda na taką przymówkę,
Niespokojnie obraca po za siebie główkę,
Czy Izy nie obaczy, lecz Izy nie widać.
A zmiłuj się Pan, rzecze; to może się wydać!
Lecz Leszek na to: wszak tu żywej duszy niema,
Patrz Pani, wszędzie pusto, gdzie rzucisz oczyma;

Wreszcie możem się udać w te uliczki boczne,
Tam pod parkanem cienie osłonią nas mroczne.
Dla Boga! rzecze Wanda, a tam może właśnie,
Nasz poeta się skrada, milczkiem, ani szaśnie,
I z poza drzew zagląda, a nużby obaczył,
Pięknieby tę historyę światu wytłumaczył.
To mówiąc, w dal na nowo wysyła oczęta,
Pot ją zimny oblewa, cała trwogą zmięta.
Ach! westchnie, co ja tutaj pocznę nieszczęśliwa,
On będzie wciąż nalegał, Iza nie przybywa,
O jeżeli zaspała, pięknie mi dogodzi!
Gotów... aż tu Stróż-Anioł Izę jéj przywodzi.
Już się zbliża, przybywa, więc nowe witanie,
Znowu nowe ukłony i nowe dyganie.
Pomiarkował nasz krytyk, że daremnie czeka,
Odsadziła go Iza jak kota od mleka;
Opuścił nos na kwintę, i przestał się wdzięczyć.
A ja mogę sumiennie każdemu zaręczyć,
Że on tego całuska na prawdę żałował,
I smutek nieudany w twarzy się malował;
Bo choć szarmanci wiele zmyślić, udać mogą,
Kiedy chcą, staną pąsem, albo zbledną trwogą,

Jednak się o te sztuczki posądzać nie godzi,
Gdzie o raj, o całusek ślicznéj Wandy chodzi.
Zatém Leszek do Wandy szepnął dość płaczliwie:
Kiedy pani mnie zdradzasz tak nielitościwie,
To ja mojéj krytyki drukiem nie ogłoszę.
Na to Wanda z uśmiechem: o proszę, o proszę!
Tak to się tylko mówi, lecz nie myśli szczerze;
A nawet, powiem prawdę, ja temu nie wierzę,
Abyś pan co napisał, a nie dał drukować,
Jużbyś tego do śmierci nie przestał żałować.
Lecz dajmy temu pokój, już to jakoś będzie,
Oto poczta odchodzi, miéj pan czas na względzie,
Rzekła. Leszek posłuszny już dłużéj nie zrzędzi,
Skłonił się bardzo grzecznie, i na pocztę pędzi.
Lecz odtąd, gdy się zejdą w domu czy w ogrodzie,
Chociaż Wanda wspomina o zaszłéj przeszkodzie,
Choć się tłumaczy trafnie, już to nic nie nada,
On zawsze „mam ja z panią na pieńku“ powiada.

Jednak się o to usilnie postarać nie zdołał,
Gdyż o tej, w całym sercu Wandy chodziło mu.
Zatém Leszek do Wandy szepnął słów pieszczotliwych.
Kiedy gość umie udawać tak słodkiemi słowy,
To ja mojéj Bryżki daleko nie oglądnę.
Na to Wanda z uśmiechem: O proszę, o proszę!
Tak to się tylko mówi, lecz nie myśli szczerze.
A nawet, porzucono prawdy, jak zwano nie wiernie,
Abyś jeszcze co napisał, a nie dał drukować.
Jeżeli tego do śmierci nie przestaniesz żałować.
Lecz dajmy temu pokój, jak to jakoś będzie,
Oh poczta właśnie przyszła, czas na wszystkie,
Bryżka. Dzwonek pocztowy już słychać, nie trzeba ...
Słońce się bardzo przechyla, i na pocztę spieszą.
Lecz bądź gdy się zejdą w domu czy ogrodzie,
Ojciec Wanda wspomina o naszej przeszłości,
Choć się ... które by ... jak to nie ...
On zawsze, mianowicie, pasie na piechocie powiedział.

PIEŚŃ PIĄTA.

E del mio vaneggiar vergogna è 'l frutto.

Petrarca.

.... l'on a perdu la plus belle des illusions de la vie, qui n'a de beau que les illusions.

Victor Hugo.

OKROPNY LAMENT POETY.

I jest czarna na białém krytyka surowa!
Ach, już po mnie! od zguby nic mnie nie uchowa!
Tak jest, wybiła moja nieszczęsna godzina,
Gwiazda życia mojego już się ćmić zaczyna!
We Lwowie wymierzony, z Poznania wylata
Grot straszny, co mnie wkrótce zmiecie z tego świata.
Jak srogi Timur, co krwi rozlewem się tuczył,
W swojéj klatce po świecie Bajazeta włóczył*);

Tak moję hańbę, łzami niewzruszon żadnemi,
Tygodnik literacki roznosi po ziemi.
I niedość jemu na tém: w tak przykréj podróży
Jeszcze mi towarzyszów dodał orszak duży;
Mnieby ta okoliczność nie powinna mieszać,
Dla kompanii mówią, dał się cygan wieszać;
To prawda, ale zważcie zgrozę niesłychaną,
Że to mnie same osły w towarzystwo dano!
A Ichmość długo-ucha widząc mnie w swém gronie,
Za panbrat czyni ze mną, i ściska mi dłonie;
Chętnie dałbym drapaka, lecz sposobu nie ma:
Drukowana kolumna, co złapie, to trzyma.

I tak moja na Parnas wycieczka zuchwała,
Jak sam teraz poznaję, źle mi się udała;
Właśnie jak Kleonowi ta wyprawa Tracka*),
Gdzie go dzielność Spartanow przestrzegała gracka:
Ale Kleon szczęśliwszy legł pod Polideją,
Już nie słyszał jak z niego Ateny się śmieją;
Ja zaś do dni mych końca w zakałę osnuty,
Do pręgierza krytyki zostałem przykuty.

O Muzy! czy to będzie grzecznie czy niegrzecznie.
Bierz was licho, ja z wami rozłączam się wiecznie;
A jezli chęć pisania porwie mnie szalona,
Toż z głowy i mnie także nie spadnie korona,
Że panom Redaktorom pokornie się skłonię,
I nawet nie zły koncept z sakiewki wyłonię,
Koncept, który okrasza najlichsze utwory;
Lecz nim zrobię potrzebne do tego przybory,
Bo prawdziwy literat sam goniąc ostatkiem,
Nie jestem przy gotówce, Pan Bóg moim świadkiem;
Dziś mówię w méj nieszczęsnéj okropnéj przygodzie
Wy mnie Muzy nie chciéjcie zostawić na lodzie!
Pozwólcie, niech ogłoszę mych żalów przemogę,
Bo gdy w sobie zatrzymam, łatwo pęknąć mogę.

Ach! od kiedy na papier przerabiają szmaty,
I druk tysiąc bezsensów ubiera w swe szaty,
Odkąd książki nie z głowy, lecz z książek się rodzą,
I milczkiem za geniuszem naśladowcy chodzą;
Odkąd dążąc do prawdy coraz inną drogą,
Filozofy dowodząc nic dowieśdź nie mogą;

Odkąd młokosów miłość rymując swój lament,
Zamiast łez, przez pomyłkę, wylewa atrament,
Odkąd wreszcie autory chwalą się wzajemnie,
Czy też był nieszczęśliwszy poeta odemnie?
Już to dla publiczności piąte gody sprawiam, *)
I stół przed nią mojemi wierszami zastawiam,
Rachując niezawodnie jak na cztery tuzy,
Że pochwałę odbiorą płody mojéj Muzy;
Ale jakaś pomyłka zachodzi w rachubie,
Bo o pochwałach, które bez wątpienia lubię,
Do których tęsknię z duszy, dotąd ani wzmianki,
Nawet o najpewniejszych, co dają bogdanki;
I gdyby nie ta krytyka ostra, jadowita,
Tobym nawet nie wiedział, czyli mnie kto czyta.
Gdzieś drugiemu niebiosy zdarzą przyjaciela,
Co mu drogę do sławy toruje, uściela,
Odmie policzki, trąbi na wszech świata strony,
Że wieszcz jego, to genjusz jest nieoceniony;
Tylko mnie nigdy taki nie spotka łaskawca,
I czy to rzecz słyszana, nawet mój wydawca
Wbrew przejętym zwyczajom więcéj mi przycina,
Niżeli o mych wierszach z pochwałą wspomina.

Ja aż w głowę zachodzę, co to wszystko znaczy,
Lecz się zawsze pocieszam: będzie to inaczéj!
Teraz gdym wierszom Wanda i kwiaty dał życie,
Przyznam się, ukochałem to najmłodsze dziecie.
I nie dziw, że pociechą serce mi zawrzało,
Gdy mi się wszystko pięknem w tém dziecku wydało;
Z jakąż niecierpliwością czekałem, aż prasa,
Nad ostatnim arkuszem do sytu się zbasa!
A gdym wreszcie w okładkach dziełko moje zoczył,
Strumień łez od radości na twarz mi się stoczył;
Ucałowałem ciebie, książeczko kochana!
Jak całował Grocyusz Fersalię Lukana; *)
Lecz ja szczęśliwszy jak on, i dowód jest jasny,
Bo on całował cudzy, a ja utwor własny!
Idź, książeczko, mówiłem; niechaj świat się dowie,
Że mózgu cztery funty ja także mam w głowie;
Idź bez obawy, żadnej nie doznasz zakały,
Owszem, aż ty dopiero zjednasz mi pochwały,
Pochwały złożą teraz już nawet koledzy!
Tych pewny, aby żadna nie uszła méj wiedzy,
Wpisałem się na wszystkie pisma perjodyczne;
Ani słowa, pieniążki wysypałem śliczne. *)

Nie to, mówiłem sobie; choć pieniądz nie woda,
Za to w nektarze pochwał obfita nagroda.
Czekam więc, rychło pisma zabrzmią w te pochwały,
Za któremi i ustne będą się sypały.
Jużem zaczął do lustra skromną minkę składać,
Z którą na te pochwały miałem odpowiadać;
Aż tu niespodziewanie, jak piorun, o biada!
Krytyka, co się zowie, gradem na mnie spada,
Podług któréj, ażeby nie rozprawiać wiele,
Jestem, jeźli nie osieł, to przynajmniej ciele.

Ach! widział kto w ogrodzie, kędy burza z gradem
Przejdzie się, biédne kwiatki zwalone pokładem
Bladéj twarzy, spłowiałe, jedne połamane,
Drugie do ziemi wbite, i z błotem zmieszane?
Taki był i mój pozór, gdy mnie grad przywitał,
Gdym tę straszną, okropną krytykę przeczytał!
Włos mi zjeżył się lasem, serce ledwo biło,
Zemdlałem, życie moje na schyłku już było.
I niema nic dziwnego, powiem bez ogródki,
Bo tylko proszę zważyć jakie dla mnie skutki:

Już teraz pan Grabowski czytać mię niebędzie
I uwag estetycznych z mych pism nie wyprzędzie;
Już nie poda dzieł moich dla potomnych wzorem,
I tak nie stanę między pisarzów wyborem.
Kraszewski, gdy mu wiersz mój przyniosą z księgarni,
Rzuci pod stół, aż lokaj porwie do piekarni.
A ja właśnie myślałem, że on mając własne
Pojmowanie krytyki, dogodne, choć ciasne*),
Może się zechce o mnie z pochwałą rozszerzyć,
I byłem gotów równą miarką mu odmierzyć.
A byłbym lepiéj zdołał, jak ten co nas nudzi
Baśniami i bredniami w opisaniu Żmudzi*).
Ma pochwała byłaby ot naprzykład taka!
Że szatan i kobieta to wiersze nie żaka,
Jakie to tam obrazy, myśli niepowszednie,
Co za znajomość uczuć, słowem wszystko przednie!
I niechże kto zuchwale o dowody spyta,
Co tam dowody! wrzasnę, tak mówię i kwita.
O jego Witolraudzie takżebym powiedział,
Żem nie ziewnął ni razu, kiedym nad nią siedział;
A choć nikt nieuwierzy w niepodobne rzeczy,
Już tego, com napisał przecie nie zniweczy.

Wreszcie gdyby wziąść przyszło Anafielas w kolej,
Musiałbym i z téj plewy wybić jakiś olej;
A gdyby trudno było, więc promieniem słońca,
Ziemiąbym się zaświadczył, żem czytał do końca.
Tylko to źle, że żyję, żem z nudów nie zginął,
Bo ztąd może kto dowieśdź, zem się z prawdą minął.
Lecz dajmy temu pokój, co po méj wymowie,
Kiedy już Kraszewskiemu mnie chwalić nie w głowie?
To gorzéj, że i Kremer Arjadny Grupego*)
Nie położy na stronę dla dziełka mojego;
O sławionéj lichocie dasz sobie przerywać?
O nie! on woli daléj czytać, wypisywać.

Taki los mój we Wilnie, w Warszawie, w Krakowie,
Ale nierównie gorszy grozi mi we Lwowie:
Teraz gdy Leszek dowiódł krytyką tak jasną,
Gdy już światu wiadomo, że głowę mam ciasną,
Mnie się już wszyscy moi wyrzekną znajomi;
Jeźli który odwiedzi, to tylko mnie zgromi,
Na ulicy przedemną każdy w bok się schroni,
Niech powitam najgrzeczniéj, nikt się nie odkłoni.

Młokos, co chcąc przekonać świat o swych zaletach,
Z Dziennika mód chrypliwie zapiał w dwóch sonetach,
Popatrzy z góry na mnie pogardy spojrzeniem,
Albo okiem litości nad mém zaślepieniem.
Trefnisie, którzy panom za obiady smaczne,
Muszą miejskich nowinek nieść zapasy znaczne,
Złośliwym żartom ze mnie, nie położą tamy;
I z lóż mnie sobie będą pokazywać damy!
Ba niech przejdę, gdzie siedzą przekupki, preclarze,
Każdy jak na raroga palcem na mnie wskaże;
I kto wie, czyli komu do głowy nie wpadnie
Wystawić mnie na scenie i wydrwić szkaradnie.
Cóż ja biedny mam robić? stolicęż zostawię?
I jak drugi Suwarow ucieczką się wsławię*)?
Tak jest, powrócę na wieś, w rodziny zagrodę,
Ale czy też tam znajdę w mym smutku osłodę?
Bo to bywa, że czasem i w rodziny łono,
Chociaż miłości węzłem winna być spojoną,
Wkradnie się brzydka zazdrość, któréj nic nie zbłaga;
W swoim bardziéj nas gniecie rozumu przewaga,
Czasem cudzym w nieszczęściu nieść ratunek spieszym,
A swoich każdą szkodą w skrytości się cieszym;

Ach! a najwięcej bolą szydercze uśmiechy,
Któremi się chłostają dzieci jednéj strzechy!
Tak mnie przyjmą bratowe, tak bracia, tak siostry:
O nie jeden tam czeka przycinek mnie ostry!
Ale najwięcéj stare dokuczą mi ciotki,
Gdy wszystkie razem prolog podniosą niekrotki:
A co, panie poeto? gdzie wieńce laurowe,
Co miały, jak mówiłeś, twoją zdobić głowę?
Gdzie te wielkie korzyści, gdzie twe świetne losy?
Ty jak wyszedłeś bosy, tak powracasz bosy.
Tak to zaczną drwić ze mnie, drwinkiż to niestrawne,
Tak zaczną chłostać, pomnąc na rozmowy dawne.

W méj młodości, gdy ciociom świeczki wykradałem,
I nieraz nad książkami całą noc siedziałem,
Schodziły mnie bywało, i szczebiocząc razem,
Wsiadały na mnie, i tym głuszyły wyrazem:
Patrzcie, znowu przy książkach! a to wieczna bieda,
Co ty głupcze wyrabiasz? na co to się przyda?
Czy chcesz w książkach zakopać wszystkie życia chwile?
Wszak twój ojciec miał rozum i nie czytał tyle.

Tracisz zdrowie, wyglądasz, jak gdybyś żył w nędzy,
Nareszcie sam pomiarkuj, szkoda i pieniędzy:
Pokój jeden i drugi napełniasz książkami,
A z butów kłapcie lecą i świecisz palcami;
Patrz sam, na tobie nie ma dobrego surduta,
Ni to jaka sierota z wszystkiego wyzuta,
Fe, wstydź się Kalasanty, tak ludzie nie robią,
I te dziwactwa, wierz nam nikogo nie zdobią.
Jeźli nie zwarjowałeś, jak szepczą już słudzy,
Spal do djabła te książki, i żyj tak jak drudzy.
Na takie dictum ciotek zwykle raka piekłem,
I zawsze w jak największém uniesieniu rzekłem:
Tylko miéjcie cierpliwość, moje lube ciotki!
Obaczycie, co będzie może za czas krótki.
Wy moi krewni na mnie nie znacie się wcale,
I to nieraz w mém sercu wielkie budzi żale,
Jednak ja zaszczyt zrobię méj całéj rodzinie,
Imię dotąd nieznane szeroko zasłynie,
Sława mi wiecznym wieńcem opromieni głowę!...
Lecz tu znowu mi ciotki przerywały mowę:
O ty szalona pałko! po co tobie sławy?
Wszak twój ojciec nie słynął, a człowiek był prawy;

Czy cię sława od głodu, zimna ubezpieczy?
Miejże rozum, i poznaj, co treścią jest rzeczy:
Chcesz mieć szczęśliwe życie, to roli dozieraj,
Karm woły i rób wódkę, a pieniądze zbieraj!
Tylko wtedy gdy w złoto będziesz opatrzony,
Zjednasz sobie szacunek, i dostaniesz żony.
Gorszyły mnie te gminne moich ciotek myśli,
Ale chcąc z niemi pokój zachować najściślej,
Mówiłem, że nauki i tę korzyść niosą:
Wszakże Wolter i Goethe nie chodzili boso*),
Biron ogromne summy brał za wiersze swoje,
Walter Skott miał podobnie nagrodzone znoje;
A gdybym tylko pisał satyry jak Sterne*),
I to może dochody zapewnić mi mierne;
Jeżeli mnogie dary od królów nie wpłyną,
Bo wiemy, co dostawał od nich Aretyno*).
Nareszcie moje ciocie, co się tycze żony,
Nie jednę, lecz dwie może pozyskać uczony...
O nie mówcie, że bredzę! gdy wierzyć nie chcecie
Tu leży Ju-Kiao-Li, przeczytać możecie*).
Takiemi ciotki moje koiłem słowami,
Chociaż mój duch wysoki gardził dochodami.

Ale cóż one teraz, cóż teraz powiedzą.
Gdy się o mojéj strasznéj porażce dowiedzą?
Zabiją mnie drwinkami! i niech tam zabiją,
Niech mnie już ziemi garstką najprędzéj przykryją!
Wszak ja na każdy sposób już jestem zgubiony,
Gdy najmilszy, jedyny cel dni mych zwichniony;
W łeb wzięły wszystkie moje różane marzenia,
Z tego com się spodziewał nie ma nawet cienia!
Myślałem, wszystko widząc w czarodziejskim wdzięku,
Że wronie jak Menzini umrę z piórem w ręku*),
I jak niegdyś swe Balde miasta burmistrzowi*)
Zapiszę Ossolińskich moje zakładowi;
Ale to pióro Leszek z ręki mi wytrąca.
Więc i kolumna pyszna, w niebiosy bijąca,
Którą, tak jak myślałem, pochlebiałem sobie,
Wdzięczni ziomkowie kiedyś wzniesą na mym grobie,
Runęła, i bez śladu, jak zamki na lodzie,
Co panna młoda stawia w dziewiczéj swobodzie.
Ach! nikt nie będzie wiedział, że byłem na świecie,
O jakim c ciężarem taka myśl mnie gniecie!
Sławy nie zyskać, do niéj nie znaleźć sposobu,
Trzeba zwiędnąć przed czasem i wstąpić do grobu!

To nie człowiek, co z strzelbą nie poluje wiele,
Tak hrabia z Ostroroga powiada w swém dziele*).
O stój hrabio! mylisz się, bo ten nie człowiekiem,
Który się kontentuje jednym życia wiekiem,
Który wszystkiéj a wszystkiéj nie natęża siły,
Aby popisał dzieła, coby po nim żyły.
U mnie szczęśliwy tylko, kto się dziełmi wsławi,
O innéj szczęśliwości niech mi nikt nie prawi.
W tysiąc wdzięków bogata piękną jest przyroda,
W cichém, zgodném pożyciu miłą żonka młoda,
Słodką i bardzo słodką jest z dzieci pociecha,
I to błogo, gdy pracy korzyść się uśmiecha;
Ale cóż? czyż tém wszystkiém i gmin się nie cieszy?
Duch wielki szuka sławy! i sądzę, nie grzeszy;
Bo tu na tym padole cóż słodszego będzie,
Gdy nie to, że o tobie rozmawiają wszędzie?
W każdym świata zakącie, na wsi i w stolicy,
Na salonach, w kawiarniach, na rogu ulicy,
O kim mowa? o tobie! ten chwali, ów pyta,
Jeden czytał niedawno, drugi właśnie czyta;
Więc cię anatomicznie estetyk rozbiera,
Skład budowy i wnętrze twych myśli otwiera;

Dalej chwalą gazety i dzienników roje:
A chociaż raz przestaną, przecie dzieła twoje
Stoją w różnym formacie, w złocistéj oprawie
W księgozbiorach na półkach niedosiężnych prawie,
I pył dziesięciu wieków dźwigają na sobie;
Jak to zbutwiałe kości musi cieszyć w grobie!
I jaż mam nie pozyskać téj słodkiej nagrody?
Albo może powiedzieć: to kwaśne jagody.

O śnie mój, który moją żywiłeś otuchę,
Pałace, coś mi wskazał jakże były kruche!
Raz w najrańszéj młodości mnie dziecku się śniło,
Że mnie szczęście do pieszczot na ręce chwyciło,
I wraz matka przyroda ślub ze mna zawarła,
Opiekuńcze nademną skrzydła rozpostarła,
I bielmo z oczu zdjęła, abym przejrzał jasno,
Tam gdzie ludziom powszednim ich światełka gasną.
Odtąd żadna chęć moja nie była daremną,
Co stało na przeszkodzie, los zmiatał przedemną;
Żywioły niby mego słuchały rozkazu,
Na com spojrzał niechętnie, to więdło od razu;

Gdzie źle o mnie myślano, tam nic się nie wiodło,
Kto mnie skrzywdził, nie zbłagał szczęścia żadną modłą.
Tak chodziłem bezpieczny, i nie znałem trwogi,
Choć nie jeden po drodze leżał Cerber srogi;
W związku z całej natury siłami tajnemi,
Górą nosiłem umysł, depcąc po téj ziemi.
Taki sen miałem, tym ja w skwarach życia chłodział!
Lecz gdzież się teraz urok jego złudy podział?
Zamiast wieńców laurowych znalazłem pokrzywę,
Zamiast świetnych zaszczytów, drwinki uszczypliwe!
Ach, któż takim upadem spadł, i w nicość spłynął?
Sam tylko Napoleon podobnie się minął;
My dwaj spadli z wielkości na sam szczyt wzniesionéj,
To jest: on z rzeczywistéj, a ja z wymarzonéj;
Lecz to w żalu, jak sami wiedzą czytelnicy,
Nie może nazbyt wielkiéj stanowić różnicy.

A to wszystko o Wando! twojém dziełem tylko,
Przez ciebiem ugodzony w serce, oh nie szpilką!

Wpadłaś na mnie, o sroga! siłą prawie Tarly *),
Czyjeżby się takiemu natarciu oparły?
Porwałaś mnie w swe ręce, jak Walisa z łodzi,
Królowa Otahajty na morza powodzi *);
Lecz ona go przeniosla przez trudne przeprawy,
Ty mnie rzuciłaś w błoto, w kałużę niesławy.
O widzę, żem się porwał z motyką na słońce!
Chciałem coś niby związać, nie zeszły się końce.
Teraz, patrz Wando! plackiem do nóg twoich padam,
Modły, błagania, żale, wszystko co chcesz składam.
Wyznam przed całym światem, że to myśli płoche
Pokusiły mnie z tobą pożartować trochę;
Że się kochałem w tobie, i jeszcze się kocham,
O jak często za tobą całe nocy szlocham!
Chociaż nieznawcy mówią, że to nie szlochanie,
Ale wyraźnie głośne, przeciągłe chrapanie;
Wyznam, że zawsze pałam dla twojej urody,
I nawet, gdybyś chciała, złożyłbym dowody!
Tylko chciej się zmiłować, wyrób mi u Leszka,
Niech przynajmniej to dziełko chwalić nie omieszka;
On, chociaż nic nie dostał, posłusznym ci będzie,
I ręczę, na pochwałę wielką się zdobędzie.

Lecz jeźli chcesz trwać w gniewie, w niezgiętym uporze,
Jeżeli ciebie zmiękczyć żaden żal nie może,
Wandziu! dajże mnie całus, a jak Bóg na niebie,
Ja sam lepszą krytykę napiszę na siebie.

DODATEK.

[illegible]

Kamień sprawiedliwości.

(Legenda turecka)

Morza oblicze w pogodę się stroi,
Lekkiemi pluska kropelki
I była cisza w Sarońskiej ostoi,
Tylko na brzegu ruch wielki;
Tam niewolnicy towary i sprzęty
Na dwa kupieckie ładują okręty.

Ale tym zgiełkiem, tą wrzawą znudzeni
Ci, których były towary,
Selim i Achmet, od dawna złączeni
Spółką niesplamionej wiary,
Idą przechadzką wzdłuż brzegu i radzą,
Do których portów swój towar wprowadzą.

I w toku mowy tak Selim powiada:
Do Smirny tobie Achmecie,
Do Trebisondy mnie płynąć wypada.
A jeźli burzy zamiecie
Naszych okrętów nie rzucą na skały,
I tu i owdzie zysk złowim nie mały.

Ale, rzekł Achmet; gdy przykre zostanie
Więcéj się przewlec niemoże,
Cóż się ze spólném naszém złotem stanie?
Któż je z nas weźmie na morze?
Czyli się raczéj już teraz podzielim?
Uchowaj Boże! rzekł z żywością Selim.

Brać je na morze nabawi frasunku,
Łatwo przywiedzie do szkody;
Grek się zbyt często dopuszcza rabunku,
Zdradzają także i wody;
Morze szeroką paszczękę otwiera,
Co dzisiaj dało, to jutro odbiera.

Równie i podział odłóżmy koniecznie:
Wszak dotąd gwiazdy łaskawe
Téj naszéj spółce świeciły statecznie.
Skończmyż tę przody wyprawę,
A gdy szczęśliwie powrócimy z drogi,
Będziem się mogli podzielić bez trwogi.

Ale ty pytasz: cóż zrobić z tém złotem?
U kogo złożyć, gdzie schować?
Aby skarb zlany nieraz naszym potem
Od wszelkiéj straty zachować,
To sęk Achmecie, to trudność nie lada,
Nad tém się dobrze namyślić wypada.

Tak mówiąc, przyszli gdzie granitu kawał
Stérczał około zatoki;
Z daleka niby szyszką się wydawał,
A mchem zielone miał boki.
Selim się wpatrzył, zadumał nad głazem,
Nareszcie takim przemówił wyrazem:

Wiesz co Achmecie, gdy słońce zapadnie,
My nocy okryci cieniem,
Możem znieść tutaj nasze złoto snadnie,
I schować pod tym kamieniem;
A słowem sobie zaręczym wzajemnie,
Że go nie ruszy z nas żaden tajemnie.

Zgoda! rzekł Achmet, i śród nocnéj chwili,
Gdy piękne gwiazdy roztlały;
Przynieśli złoto, kamień odważyli,
I skarb swój schowali cały.
I na proroka przysięgli wielkiego,
Że go nie ruszy jeden bez drugiego.

Nazajutrz rano podnieśli kotwicę,
Z szumem rozwinęli żagle;
Majtek wiosłami bije morza lice,
A statki pomknęły nagle;
W przeciwne strony uchodzą osobno,
Już się nie widzą nawet plamką drobną.

A wtedy Achmet w wiarołomnéj duszy
Układa skarbu porwanie;
Chciwość w nim póty krzyk sumienia głuszy,
Aż myśli panią się stanie.
I gdy rzecz osnuł w dumania otchłani,
Każe najspieszniéj wracać do przystani.

I wraca okręt za wodzą sternika,
Znanych dosięga wybrzeży.
Achmet wysiada, bierze niewolnika,
Przychodzą, gdzie kamień leży;
Chwycą go społem, lecz siłą ramienia
Podnieść, ni ruszyć nie mogą kamienia.

Wtedy wezwany drugi, trzeci, czwarty
Niewolnik szparko pospiesza;
Siłą się wszyscy, lecz ciągle uparty
Kamień zamiary ich miesza.
Prą go daremnie żerdziami długiemi,
Głaz się nie ruszy, i bryłą tkwi w ziemi.

Przeklęty głazie! tak Achmet się rzucił;
Lekki gdy przyjąć masz złoto,
Teraz, gdy trzeba abyś je powrócił,
Cięższy jak wieża niecnoto!
Na to, o cudzie! przemówił głaz szary:
Kiedy ty nie chcesz, ja dochowam wiary!

Wiedz wiarołomny! tak dalej chropawy
Głos się z kamienia wynurza;
Że każdy brzydki, każdy czyn nieprawy
Ducha przyrody oburza;
Niesprawiedliwość gdzie dojmie goryczą,
Tam nawet nieme kamienie zakrzyczą.....

Wiedz wiarołomny, gdzie zbrodnia się stanie,
Żalem liść drzewa szepleni,
Żalem strumyka odzywa się łkanie,
Żalem kwiat w koło się mieni;
Duszy, co swojéj godności nie czuje,
Cała natura upadku żałuje,

Tak mówił kamień i nie oddał złota.
Po dziś dzień około zatoki
Jeszcze on leży, na darnie cień miota,
A mchem zielone ma boki.
Wnuki go pięknem chcąc uczcić wspomnieniem,
Sprawiedliwości nazwali kamieniem.

Modne małżeństwo.

(Ballada.)

Tatarkę siali, kiedy dziedzic młody
Przywiózł w dom żonkę prześlicznej urody;
Chociaż głos biegał z téj i z owéj strony,
Że jemu wcale nie potrzeba żony.

Otóż ją przywiózł, i któż mu co zrobi?
Dla niéj dom cały, jak może, ozdobi;
Czuwa, dogadza, lecz nie patrz mu w oczy,
Dzikie wejrzenie twój uśmiech zamroczy.

A przecie żonę co moment całuje,
Ona go także w swój uścisk ujmuje;
Ale czy szczerze? jeźli nie udają,
Nie ma co mówić, bardzo się kochają!

Tatarka rośnie, a nasz dziedzic młody
Piękna małżonkę prowadzi w ogrody,
Obwozi czwórką po łanach szerokich,
Wskazuje łasy na górach wysokich.

Lecz Miodoborów piękna okolica,
Młodą małżonkę nie wiele zachwyca;
Jeźli się cieszy, to tylko intratą,
I widokami, że będzie bogatą.

Bo w duszy myśli, że wszystko zagarnie,
Gdy pan małżonek przetyra dni marnie;
Wszakże z dnia do dnia trunkami rozgrzany,
Ledwie na nogach trzyma się pijany.

Tatarka kwitnie, lecz w domu dziedzica
Żony już nie ma! ach, gdzież krasawica?
Tę różę lśniącą w młodości ozdobie,
Czyli tak wcześnie schowaliście w grobie?

Ach, gdzie tam! ona wesoła i zdrowa,
Jak sobie dała drapaka do Lwowa,
Tak hasa teraz, i tam na karb czepca
Ująć ją może.... ot lada pochlebca!

I cóż tę parę rozprzęgło tak wcześnie?
Śluby, przysięgi czyliż były we śnie?
Alboż nie wiedzą, że Wszechmocny karze
Kto wiarołomstwem znieważa ołtarze?

O to rzecz prosta! powszednie zdarzenie
Nie zasługuje na żadne zdumienie.
Każde małżeństwo podobnie się kończy,
Gdy czysta miłość, gdy cnota nie łączy.

Lubieżność po nią wyciągnęła ręce,
Aby czém chucie pożegać zwierzęce;
Chciwość w te dłonie rzuciła ją brzydka,
Ach, taki węzeł, pajęcza to nitka!

Wkrótce pan młody, choć zawsze pijany,
Poznał, zazgrzytał, że nie był kochany,
I gdy o miłość jął prosić kułakiem,
Fit, fit, żoneczka wymknęła się ptakiem.

Tatarka doszła, zbierajcież ją sobie!
W domu dziedzica dziś głucho jak w grobie,
Wrzawa i bojki wszystko to ucichło:
O już mu żony nie zechce się rychło!

Moja sąsiadka.

1841.

U mnie za ścianą i we dnie i w nocy
Słychać głębokie westchnienia niemocy,
Czasem jęk słaby milczenie przerywa,
Czasem się oddech chrypliwy odzywa:
O nie dobrze, nie dobrze w tėj piersi się dzieje,
Z którėj takie westchnienie, taki oddech wieje!
I przypomniałem własne utraty.
Gdy mi najmilsze pogasły kwiaty!
I żal mnie wielki przygniecie,
Jakaś mnie gniecie tęsknota;
Powiedzcie, czyli nie wiecie,
Któż jest ta biedna istota?

Jest to dziewica młoda i piękna i hoża,
Którą słabość śmiertelna przykuła do łoża;
Już się z niego nie podniesie,
Jéj godziny policzone,
Darmo lekarz pomoc niesie,
Wszystkie nadzieje stracone!

Ale dla czegoż, o biedna!
W takim stanie sama jedna?
Tylko obce tu twarze snują się koło niéj,
I usługi tu nie ma tylko z obcéj dłoni.
Czyliż nie dosyć, że w szybkim odkwicie
Jeden po drugim wdzięk od niéj odpada?
Że co miłego, lubego ma życie,
Wszystko w noc wieczną porywa śmierć blada?
Że jéj młodości sny złote pomierzchły,
Rojone gwiazdy pogasły i pierzchły?
Musiż jeszcze i téj nawet nie doznać pociechy,
Aby kto czuwał nad nią z pod ojczystéj strzechy;
Aby kto sercu bliski patrzał na nią mile,
I ochoczą posługą szedł w pomoc jéj sile;

I aby raz ostatni, choć złamanym wzrokiem,
Jeszcze się miłych twarzy napasła widokiem.
Czemuż teraz, gdy każda chwila tak jest drogą,
Z jéj krewnych, z jéj przyjacioł tu nie ma nikogo?

Piękna, tkliwa,
Nieszczęśliwa!
Czy ty nie masz ojca, matki,
Ani brata, ani siostry?
Że te twoich dni ostatki
Los ogarnął taki ostry.
Albo cię może, ludzie twardéj duszy
Wśród katuszy,
W strasznéj chwili
Odstąpili?
Nie! oni w dali, nie doszły ich jeszcze
Takie o tobie nowiny złowieszcze:
O gdy się dowiedzą,
Wiatr pędem wyprzedzą!

A tymczasem, lube dziecie!
Uśmierz żalu ciężkie wały,
Niech cię świat odstąpi cały,
Bóg cię nie odstąpi przecie!
W stanowczéj chwili przyśle ci anioła,
Co pocałunkiem twą duszę wywoła,
I wziąwszy w uścik, skrzydłami swojemi
Wzniesie, zaniesie przed tron Pana ziemi;
A ile cię tu nie doszło słodyczy,
Sto razy tyle tam Stwórca doliczy.
Patrz On i na téj ziemi jeszcze cię pocieszy!
Wszak na skrzydłach miłości grono twoich spieszy;
Masz już matkę w objęciu, masz i siostrę z bratem,
Życie jeszcze raz tobie zaśmiało się kwiatem!

A teraz, o czułe dusze!
Wam trzeba żale ukoić,
Trzeba się męstwem uzbroić;
Bo szlochanie,
Rąk łamanie,
Tylko pomnaża skonu katusze.

Raczéj co w życiu było jéj osłodą,
Niech wasze słówka w jéj pamięć przywiodą;
Mówcie jéj o tém, co ją cieszyło,
Dla kogo żywiéj serce jéj biło!
Komu przyszłości zaparte podwoje,
Tylko w pamiątkach ma pociechy swoje.
Mówcie o Bogu, że Ojciec niebieski
Wszystko swe kocha stworzenie,
Tutaj ściśnionych policza on łezki,
I każde goi cierpienie.

Żonka wygoda.

Szczęśliwe, błogie i słodkie ma wczasy,
Komu żoneczkę zdarzył los łaskawy!
Nie musi pędzić przez góry, przez lasy
Dla trochę pieszczot, dla trochę zabawy;
Wszystkie rozkosze u siebie znajduje,
Bez korowodów, bez czasu utraty,
Kiedy chce żonkę ściśnie, pocałuje,
A wszystko darmo, bez żadnej opłaty.
Nie ma co mówić, jest wielką wygodą
Mieć żonkę dobrą, a jeszcze i młodą!

Jest przed kim swoje wyliczać przymioty,
Grać rolę zucha, co walki nie zwleka;
Można się stroić i w rozum i w cnoty,
Można udawać wielkiego człowieka;
Nawet swój dowcip wynosić chełpliwie;
Kto inny łatwo nie da wiary temu,
Jeszcze się gotów roześmiać złośliwie,
Lecz dobra żonka uwierzy wszystkiemu.
Nie ma nic mówić, jest wielką wygodą
Mieć żonkę dobrą, a jeszcze i młodą!

Gdy czasem kłamać brzydki nałóg łechce,
Lub tak interes każe się tłumaczyć,
Gdy zwodnym słowom nikt zaufać nie chce,
Można się śmiało żoneczką zaświadczyć.
Choćby to były Bóg wie jakie baśnie,
Wszystko potwierdzi poczciwa połowa,
Powie, że sama przy tem była właśnie
I nawet złożyć przysięgę gotowa.
Nie ma co mówić, jest wielką wygodą
Mieć żonkę dobrą, a jeszcze i młodą!

Kiedy zły humor każe zrzędzić srogo,
Kiedy niestrawność wznieca dzikie szały,
Jest sfukać, zgromić, jest wyłajać kogo,
Nie trzeba sypać na ściany gniew cały;
Bo kiedy palim nie krótką perorę,
W której gniew szumi, jak wicher po lesie,
Nie każdy zechce ubrać się w pokorę,
Lecz dobra żonka cierpliwie to zniesie.
Nie ma co mówić, jest wielką wygodą
Mieć żonkę dobrą, a jeszcze i młodą!

Gdy jaki zamysł nie ziści się składnie,
Gdy się nie uda, jest na kogo zwalić;
A choć się noga powinie szkaradnie,
Można się przecież rozumem pochwalić:
Wszak ja mówiłem, z tego nic nie będzie,
Ale to twoja skłoniła mnie rada,
Już to ty musisz nosek wścibić wszędzie,
A to lubeczko wcale nie wypada.
Nie ma co mówić, jest wielką wygodą
Mieć żonkę dobrą, a jeszcze i młodą!

A więc niezwłocznie ubogi, bogaty,
  Mądrzy i głupi, wszyscy jak jesteśmy,
I czerstwi jeszcze i schyleni laty,
  Do nóg płci pięknéj hołdy nasze nieśmy.
Wznośmy pod nieba jéj cnoty, jéj wdzięki,
  I przyrzekajmy wszystko, co ją cieszy;
A kto uzyska dar serca i ręki,
  Niechaj w tryumfie do ołtarza spieszy.
Bo ani słowa, jest wielką wygodą,
Mieć żonkę dobrą, a jeszcze i młodą!

Ciesz się!

Głupcy to byli,
Co nam prawili,
Że grzechem każde, każde użycie,
Że z drogi zboczył,
W przepaść się ztoczył
Kto z nas ukochał to ziemskie życie.

Bo nam się męczyć,
I trzeba dręczyć
Rozkosz odmową, choć serce kusi;

Wszelkie uciechy,
Szczęścia uśmiechy
Człowiek wieczności poświęcić musi.

Ci co tak bredzą,
Czyliż nie wiedzą,
Że część wieczności każdy dzień składa?
Że na téj ziemi
Być szczęśliwymi
Sam Stwórca na nas powinność wkłada?

Z wszechmocnéj dłoni
Bóg dary roni
Na wszystkie twory hojnym wymiarem;
Kto muszkę żywi,
Czyliż się skrzywi,
Że człowiek jego cieszy się darem?

NOTY.

Wszechświatowy,
Szczęścia ziemskie
Człowiek wieczności poświęcić mus.

Ci co tak bredzą,
[illegible]
Że [illegible] których sami słuchają,
Że na [illegible]
By [illegible]
Sam St[illegible] ładu!

[illegible]
Nie dany nam
Na wszystkie smutki, którymi napełniamy,
I on stworzył żywe,
Cieszy się, [illegible]
Że człowiek jego cieszy się darem!

Do pieśni pierwszéj.

Motota do tego poematu użyte, po największéj części z mało komu znanych autorów wzięte, i tém się różniące od zwykle kładzionych, że odpowiadają textowi, występują tu w dosyć mnogiéj liczbie, ale nie dla tego, abym się chciał popisywać z oczytaniem przestarzałych książek, tylko dla téj przyczyny, że chciałbym pójśdź za teraźniejszą modą brania motów z dzieł własnych, jednak nie przody, aż spotrzebuję mój zapas z autorów obcych; muszę więc z niego czerpać często i gęsto.

Bo gdy „myślę, więc jestem“ Kartezyusz powiada.

Rene des Cartes, albo z łacinska: Renatus Cartesius, sławny filozof francuzki ur. w Hadze r. 1596. um. r. 1650. Jego cogito, ergo sum, sławne w dziejach nowszej filozofii, którą od niego i Bacona Verulam datują.

Na sofie pod zwierciadłem śliczna jak Huryska.

Huryski są to dziewice doskonałej piękności, koranem obiecane prawowiernym, którzy w raju znajdować się będą.

Cała wylecę, jak ptak z krokodyla paszczy.

Maurycy Toman w podróży swojej do Egiptu powiada. „Uwagi godną jest jeszcze poufałość z krokodylem pewnego średniej wielkości ptaka, którego Maurowie, Bandasi, to jest: paziem nazywają. Gdy się krokodyl łupem swoim nasyci, wyłazi zwykle z wody i kładzie się na gorącym piasku z rozwartą paszczęką; a w otworzoną wlatuje ten ptak, i zbiera wiszące jeszcze na zębach mięso, i nie przody odleci, aż głód swój zaspokoi.“ Toż samo powiada o czajce Paweł Lukas jako naoczny świadek, w podróży odprawionej r. 1714.

Znajdę znajdę ten kamień co to z każdéj rany.

Karol Piotr Thunberg w opisaniu podróży do Chin odbytéj w latach 1772—1779. wspomina o tym kamieniu w tych słowach: „widziałem tak zwany wężogłaz, który z Malabryi sprowadzają, płacąc od sztuki po 10—12 talarów. Jest on okrągły, nakształt kuli, czarny, mający w pośrodku popielatą plamę, a przytém pełny drobnych dziureczek. Sprawiedliwości jego można doświadczyć, włożywszy go we wodę: jeżeli na powierzchnię wody mnóstwo bąbelek bije; prócz tego powinien, wzięty w gębę, lepnąć do podniebienia. Taki położony na ciało od gadziny ukąszone, wsięka mocno w ranę, i wciąga w siebie truciznę, a gdy się tą napełni, sam odpada; poczém rzucony w mleko, farbuje je na niebiesko, i zbywa się naciągnionego jadu.“ Jednak uczony Pauw wątpi, aby taki kamień istniał; obacz jego: Recherches philosophiques sur les Américains. Tom. II. pag. 345.

I jak Psylli gadzinę, ciebie wężu brzydki.

Sonini w opisaniu podróży do Egiptu mówi: „Igrzysko innego rodzaju sprawił mi widok Psyllów, poskromicieli gadzin. Włóczą się oni processyą po ulicach miasta i trzymają w ręku żywe gadziny, które oni pośród okropnych wykrzywiań członków i min

kąsają, rozdzierają i pożerają." — Inne także podróże podobnie tych Psyllów opisują. Może być, że się zabezpieczają od ukąszenia gadzin użyciem ziela zwanego Arsazoe, o którém wspomina Ludolph także w podróży do Egiptu, a które ma być tak przeciwne gadzinom, że nawet najzjadliwsze niém dotknięte, można brać w rękę, zakładać im obroże na szyję i z łatwością zabijać.

Do pieśni drugiéj.

Że w głowie nie ma ładu jak w chińskim ogrodzie.

Tak nam opisuje ogrody chińskie Szwed Olof Foreeus w podróży do Ostindyjów i Chin odbytej w latach 1750—1752. I tak zapewne jest dotąd, bo w Chinach nic się nie odmienia.

Ciemno, jak pod równikiem po słońca zachodzie.

W krajach pod ekwatorem leżących niema ani porannej, ani zachodniej zorzy, którą w Europie wi-

dzimy; tam jak zaraz po nocy zupełny dzień, tak zaraz po zachodzie słońca noc następuje.

Ledwie potrafi drugiéj nie pisać Duncyady.

Duncyadę, satyryczno żartobliwe poema, pełne wesołego dowcipu, napisał Alexander Pope, aby się zemścić na wszystkich jemu przeciwnych autorach i księgarzach, i w istocie chłosta ich nielitościwie.

Świat krzyczał: że Bajlemu, Leibnitzowi sprostał.

Piotr Bayle, jeden z największych erudytów jakich miała Francya, urodził się w hrabstwie Foix r. 1647., umarł w prywatnym stanie r. 1706. Z pomiędzy licznych dzieł jego najznakomitszém jest: Dictionaire historique et critique, w czterech tomach in folio, gdzie ogromną erudycyę i osobliwsze pomysły łatwym i przyjemnym stylem rozwija. — O Leibnitzu słówko powiemy w nocie do pieśni czwartéj.

On zaraz Linneusza na plac ci wywlecze.

Linneusz urodził się w Smalandyi prowincyi szwedzkiéj r. 1707., umarł prezydentem Akademii umiejętności i professorem botaniki r. 1778. Sława tego naturalisty rozszerzyła się po całéj Europie i system jego gatunkowania roślin powszechnie przyjętym został.

W ten sposób z Pufendorfem Bekman się powadził.

Baron Pufendorf syn księdza luterskiego, urodził się r. 1632. we Flechen, wiosce blisko Chemnitz leżącéj. Studia odbywał w Lipsku i Jenie, a r. 1661. został profesorem prawa natury w Heidelbergu. Roku 1670. powołał go Karol XI., król szwedzki na profesora do Lundu, a r. 1686. mianował go swoim radzcą i dziejopisarzem. Roku 1688. wezwany jako tajny radzca od elektora brandeburskiego, udał się do Berlina, gdzie r. 1694. życia dokonał, otrzymawszy przódy od króla Szwecyi dyplom barona. Gdy wydał swoje dzieło, prawo natury i narodów, powstał przeciw niemu Mikołaj Beckman, który z nim razem był profesorem w Lundzie, zapewne przez zazdrość. Aby zarzutom swoim więcéj dodać wagi, starał się na swoją stronę pociągnąć teologów, obwiniając Pufendorfa o Heterodoxię. Pismo jego wyszło pod tytułem: Index novitatum quarundam, quas Samuel Pufendorf libro suo de jure naturali et gentium contra ortodoxa fundamenta Lundini edidit. Ale pismo to zostało na rozkaz króla szwedzkiego przez kata spalone, i Beckman z kraju uchodzić musiał. Odtąd pobudzała go zemsta do wydawania wielu innych pism, które tu wyliczać niema miejsca. Na niektóre z tych satyr Pufendorf równie satyrami odpowiadał.

Taką wojnę Skaliger z Erazmem prowadził.

Juliusz Cezar Scaliger urodził się r. 1484. w zamku de Ripa, powiecie Werońskim. W młodości swojéj służył wojskowo, potém uczył się filozofii scholastycznéj, chciał wstąpić do stanu duchownego, ale się rozmyślił i zaciągnął się znowu do wojska. Nakoniec uczył się medycyny i został dosyć dobrym lekarzem. Pisma wydawać zaczął dopiero w 47 r. życia swego, ale co dotąd zaniedbał, wkrótce nagrodził raźnością pióra i zrobił sobie wielkie imie w świecie literackim. Umarł w Agonie r. 1558. — Desiderius Erasmus z Rotterdamu był nieślubnym synem Gerardo Gerardi i urodził się w Rotterdamie r. 1467. Po śmierci rodziców zmusili go opiekunowie wstąpić do stanu duchownego, lecz późniéj Papież na żądanie jego uwolnił go od ślubów kapłańskich. Sława uczoności jego rozeszła się wkrótce po całéj Europie, i zjednała mu szacunek Monarchów, z których wielu życzyło sobie mieć go na swoim dworze, ale Erazm przekładał wolność. Podróżował wiele, aż nakoniec mianowany od Karola V. nadwornym radzcą osiadł w Bazylei, i tam syt honorów i sławy umarł na dyssenteryę r. 1536. Dzieła jego wyszły w 9 tomach in folio w Bazylei, a życie jego opisał Samuel Knigt. — Do wojny literackiéj ze Skaligerem był powód następujący: uczeni włoscy z wieku szesnastego utrzymywali, że w pisa-

10

niu mową łacińską sam tylko Cycero za wzór służyć powinien. Sprzeciwiali się temu uczeni angielscy, francuzcy i niemieccy, a na ich czele stanął Erasmus, co tak oburzyło Skaligera, że zaraz wydał przeciw niemu zjadliwe pismo pod tytułem:

Julii Cesaris Scaligeri adversus Desiderium Erasmum rationes duae, elequentiae Romanae vindices cum ejusdem Epistolis et opusculis. Tolosae. 1521.

Taką Gozzi z Goldonim.

Hrabia Karól Gozzi kwitnął w drugiéj połowie zeszłego wieku. Zdaniem niektórych należy mu pierwszeństwo między pisarzami włoskiéj komedyi. Pisał także mnóstwo sonetów i canzonów, prawie wszystkie przeciw Goldoniemu. — Karol Goldoni urodził się we Wenecyi r. 1707. a umarł w Paryżu r. 1793. Już w ósmym roku życia swego próbował pisać komedyje. Po wielu niestałych zabiegach do różnych stanów, został nareszcie za namową matki adwokatem w Padwie, lecz niedługo piastował ten urząd, rzucił Padwę i puścił się na życie awanturnicze, w które go najwięcéj płoche miłostki plątały, aż się nareszcie w Genui z panienką zacną ożenił, i we Wenecyi osiadł. Tu został mianowany konsulem państwa Genuij, ale gdy mu ten urząd żadnych dochodów nie przynosił,

udał się do Pizy na adwokata, atoli wkrótce powrócił znowu do Wenecyi, gdzie lat 14 przepędził. Nakoniec już w wieku, został powołany do Paryża do teatru włoskiego: tu we dwóch latach napisał 24 komedyi i uczył córki Ludwika XV. języka włoskiego, co mu zjednało pensyę roczną 4000 fr., lecz téj pozbawiła go Rewolucya; dopiéro za pobudką Cheniera wypadła uchwała wracająca mu tę pensyę, lecz na dzień przed jego śmiercią. Dramatyczne dzieła jego wyszły w trzydziestu tomach i zawierają 120 sztuk; mnie tylko wybór komedyi jego znany składający się z 36 sztuk; między temi najlepsze: Jl Bugiardo i La Famiglia di Antiquario. Wolter wynosił zalety Goldoniego pod nieba, zowiąc go synem i malarzem natury, ale nie tak pochlebnie sądzi o nim swiatły Baretti, jak to w listach jego doczytać się można.

A Gottszed z Bodmerem.

Gottszed, profesor w Lipsku, stronnik zepsutego smaku, urodził się w Królewcu, a umarł w Lipsku r. 1766. — Jan Jakób Bodmer, Szwajcar, uważany przez literatów niemieckich za ojca krytyki i wskrzesiciela dobrego smaku w Niemczech, urodził się w Gryfenbergu koło Zürichu r. 1698., a umarł r. 1783. Tych obu kłótnie literackie, w których prawie wszyscy pod-

ówczas żyjący uczeni niemieccy udział mieli, ich wzajemne na siebie satyry tu wyliczać i opisywać za wiele zabrałoby miejsca; ciekawy czytelnik znajdzie wszystko dokładnie wyłożone i ocenione w pięknem dziele Gryphina: *Geschichte der poetischen National-— Literatur der Deutschen.* Vierter Theil. S. 46.

Taką Wolter z Freronem, a Russo z Wolterem.

Komuż nie znana wojna literacka Woltera z Freronem? i potwarze które na siebie miotali wzajemnie? Podobna, lubo mniej zacięta, wzniecila się między Wolterem i Janem Chrzcic. Rousseau, niegdyś sławnym poetą lirycznym.

Drugi Rousseau i z Humem głośne miał zatargi.

Jean Jaque Rousseau, często wyśmiewany przez Woltera, ogłosił swoją, zdaje się niesłuszną urazę do Humego drukiem; wynikłe ztąd pisma stron obu znajdzie czytelnik w zupełnem wydaniu dzieł filozofa Genewskiego, ale tylko z smutnem uczuciem czytać je będzie; już to pewna, że Rousseau był trochę dziwakiem, a przy końcu życia swego, kto wie, czyli nie cierpiał pomięszania rozumu? przynajmniej ślady tego widać w ostatnich jego pismach.

Jeśli tego co pisał Plutarchus, pan niewie.

Mowa tu o dziełku Plutarcha: Zdania królów i wodzów, w zbiorze jego tak zwanych dzieł moralnych.

I Ojcowie kościelni, święty Efrem w piątym,
A święty Cyprian pisze w rozdziale dziesiątym.

Tu Slękosz daje dowód, że jest prawdziwym erudytem, bo nawet fałszywie cytuje. To coby tu się przystósować dało, Ś. Efrem nie w piątym, ale powiada w rozdziale 93.; oto są słowa jego: „Jeżeli już mówić musisz, dajże razem i dobrą radę! Ale jeżeli się brat twój sprzeciwia twoim słowom, nie bądźże mu zaraz złéj woli w sercu twojém; ale raczéj odstąp od zdania twego dla miłości pokoju. Bo gdy gniew zapalonego (złego) ducha poskromisz, nic on nie zdoła przeciw tobie. Jeżeli więc kto sprzeciwia się tobie, tak mu odpowiédz: dobry przyjacielu! ja tak mówiłem, jako nieznający się na tém; ja mówiłem tylko nawiasem; przebacz moim nierozsądnym słowom; niech tak będzie jak ty mówisz. A tak zły duch, który tylko zamieszki i niezgodę wznieca, nic nie wskóra i ze wstydem odstąpi od ciebie.“ — Zaś w całym Ś. Cyprjanie nic nie znalazłem coby tu się przytoczyć dało. Slękosz byłby lepiéj zrobił, gdyby był zacytował słowa S. Ambrożego: „Nie odpowiadaj temu, który ci złorzeczy: bo

on będzie myślał, że wygrał sprawę, gdy w tobie takiego jak sam potwarcę znalazł."

Przez królowę francuzką Klopinel schwytany.

Klopinel albo Jan de Meun urodził się r. 1280. Clopinelem ztąd nazwany, że był kulawy. Kończył on sławny romans o róży Wilhelma Lorrisa, któremu śmierć dokonać go nie dała. W tém dokończeniu umieścił Klopinel wiele satyr na damy mające znaczenie, czém je tak obraził, że nie tylko apologią przeciwniemu wydały, ale jeszcze przyciągnęły na swoją stronę królowę, małżonkę Filipa pięknego, która Klopinela schwytać, w obliczu tych dam obnażyć i do słupa przywiązać kazała, gdzie już miał być rózgami obity. Lecz Klopinel prosił, aby mu wolno było przódy jednéj domagać się łaski, a gdy mu królowa pozwoliła, prosił, aby ta z pań dała mu piérwsze cięcie, któréj rozwiozłość najwięcéj na jego satyry zasłużyła. Tym sposobem uwolnił się od kary, bo żadna z pań nie chciała piérwsza uderzyć.

Oldenburger zjeść musiał dwie kartek satyry.

O życiu Filipa Jędrzeja Oldenburga nic niewiemy jak tylko, że był nauczycielem prawa w Genewie, i że umarł r. 1768. Wydał dzieło pod tytułem:

Constantini Germanici ad Justum Sincerum epistola politica de Peregrinationibus Germanorm etc. W tém dziele mówi Oldenburger dosyć wolno o dworach książąt Rzeszy niemieckiéj, o ich ministrach i o duchowieństwie. Ale mu to na złe wyszło, bo był zmuszony zjeść z tego dzieła dwie kartki, w których obraził jednego z tych udzielnych książąt, i nadto jeszcze odebrał tęgie plagi.

Historya literatury przedstawia nam wiele podobnych przykładów, ale to wszystko, w ludziach silnéj skłonności do satyry poskromić nie może. Loredano pisał do Palavicina te bardzo, bardzo roztropne słowa: *„La Satira muove il rise de gl' ascoltanti, ma fa piangere gli Autori. Voglia Dio che ciò non si verifiche nella sua persona. Chi dice male di chi puo far male, se non merita il titulo di pazzo, non fuggire quello d'imprudente. Le sodisfattioni che nuocons, si possono paragonare a quelle medicine, che aggravano l'infermo in vece di risonarlo. Chi v'ha interesse ci pensi.“*

Ale Palavicino nie usłuchał téj rady i smutny miał koniec.

Pope chociaż zapierał wziął porządne cięgi.

Alexander Pope, jeden z najznamienitszych poetów Anglii, którego Byron nie może się dosyć na-

chwalić, urodził się w wierze kościoła katolickiego, w Londynie r. 1688., umarł na puchlinę w piersiach 30. Maja 1744. Gdy tłumaczeniem Homera przeszło 200,000 talarów zyskał, znalazło się wielu zazdrosnych, którzy sławie jego uwłóczyć chcieli. Pope im tego nie darował, pisał na nich uszczypliwe satyry i porobił ich bohaterami swojéj Duncyady. Za to nieprzyjaciele jego rozsiali po całym Londynie wiadomość o plagach, które Pope miał odebrać. Doniesienie takie miało następujący tytuł:

Rzetelne sprawozdanie o strasznych i okrutnych plagach, które mistrz Alexander Pope otrzymał, gdy się całkiém niewinnie na brzegu Tamizy przechadzał, i o wiérszach dla dobra publiczności rozmyślał. Które to plagi dane mu były przez dwóch złośliwych, szukających zemsty za pewne wierszyki, które tenże poeta bez złego zamiaru na nich napisał."

Wieść ta bardzo Popego obeszła i wydał zaraz doniesienie do publiczności, gdzie zapewnia, że dnia tego, w którym podług owéj wieści miał dostać plagi, nawet z domu nie wychodził.

Sam Wolter gdy był młody nie uszedł zniewagi,
Za obrazę Rohana dostał tęgie plagi.

Condorcet w życiopiśmie Woltera nic o tém zdarzeniu nie wspomina; nie ma także o niém żadnéj

wzmianki w dykcyonarzu historycznym. Tylko Flögel w swojéj historyi komicznéj literatury powiada: Der berühmte Voltaire, der gern Satyren schrieb, aber die Gelehrten, welche gegen ihn Satyren schrieben, die gelehrte Canaille nannten, erhielt in seinen jüngeren Jahren von den Bedienten des Chevalier de Rohan, vermuthlich wegen einer Satyre, eine tüchtige Tracht Schläge.

Używali kamyków, rozumie się gładkich.

Obacz Aristofana komedye: Pokój w. 1232. i Plutus w. 818.

. . . . gdy mniemał, że sprostał
Bötligerom i Vossom.

C. A. Bötliger sławny badacz greckich i rzymskich starożytności, urodził się w Reichenbach roku 1760., a umarł w Dreznie r. 1835. Goethe gdy obrabiał jakie przedmioty z świata starożytnego, dawał mu prace swoje do przejrzenia, czyli nie popełnił jakiego błędu. Znakomitsze dzieła jego są:

Andeutungen zu vier und zwanzig Vorlesungen über die Archaeologie.
Ideen zur Archaeologie der Malerei.
Griechische Vasengemälde i. t. d.

Tak zwanej poezyi były kwiaty świeże.

Między naszemi gminnemi pieśniami, które teraz tak bardzo w modzie, może tylko dla tego, że u Serbów znalazła się prawdziwa poezya, znajduje się wiele i bardzo wiele takich, które żadnej wartości estetycznej nie mają, a gdy prócz tego i badania historycznego, jak uważa Maciejowski, na nich opierać nie można, więc nie wiem, na co je ciągle obrabiać, naśladować i drukiem ogłaszać, a osobliwie te, które zgrozę i obrzydzenie budzą, jakie się znajdują w Ziewonii i w pracach literackich. Podobno tej samej modzie przypisać należy ten szał i przesadę, z jaką każdy zabytek poezyi starej Sławiańszczyzny oceniony bywa. S ą d L u b u s z y, jestto kawałek składający się ze stu wierszy, a kto bądź jest jego twórcą, opowiada zdarzenie proste z dosyć wdzięczną prostotą; ale w całym utworze ja przynajmniej nie widzę osobliwszych piękności poetyckich, prócz kilku wierszy zaczynających poemat:

Czém Wełtawo mętne sączysz wody?
Czyli burza wzdyma twoje brody,
Czy gwałtowne z niebios pędząc tucze
Złotą piaską gliną prąd twój brucze?
— Jak się nie mam mętną sączyć wodą.
Gdy dwaj bracia spór zacięty wiodą.

Prócz tych wierszy, które są prawdziwie piękne, nie ma tu więcej nic szczególnego, a przecie jakiś *A. B.* tłumacz tej pieśni, powiada w nocie o tym Sądzie Lubuszy: „Jeśliby przez jaką nadzwyczajność dziś się pojawił jego piewca, spółcześni powinni mu ustąpić pierwszeństwa." Jak to, panie *A. B.*? czyli i Byron i Walter Skott i Twórca Lali-Rokh, i Wiktor Hugo i Lamartine, i Goethe i Schiller i Mickiewicz i Zaleski? Zważyłżeś pan dobrze, coś powiedział? Ale to pewnie własne tłumaczenie tak cię zachwyciło. *Witalis Kukułka.*

Nigdy jako nie gaśnie latarnia Kardana.

O téj misternéj latarni czyli lampie obacz: *Geschichte aller Erfindungen und Entdeckungen im Bereiche der Gewerbe, Künste und Wissenschaften von Johann Heinrich Moritz von Poppe. S.* 233.

Pan nie wierzysz? weź, czytaj literackie listy Grabowskiego, tam znajdziesz dowód oczywisty.

W siódmym liście korrespondencyi literackiéj istotnie pan Grabowski radzi tłumaczyć Homera nieposiadającemu języka greckiego. Mnie się zdaje, że p. Grabowski głupstwo powiedział, ale niech się tém zbyt wiele

nie martwi, już to się uczeńszym jak on trafiało, osobliwie, gdy nie mieli tego w pamięci, co wyraża hiszpańskie przysłowie:

Del dicho al hecho
hay gran trecho.

Witalis Kukułka.

O my czasem bicz z piasku ukręcić musimy.

Ten wiersz i trzy po nim następujące są moim dodatkiem i nie robię z tego żadnej tajemnicy, że tu biję na Żywot Józefa Dunina Hr. Borkowskiego, napisany przez Augusta Bielowskiego, a drukowany w Album.

Przypisek Wydawcy.

Tuby jemu nie zrównał żarłok z Tabalaku.

Tabalak, osada Jakutów w północnej Syberyi pod panowaniem rossyjskiem. W podróży od granic Chin do morza lodowatego i Kamtszatki tamtędy przejeżdżając John Dundar Couchrane powiada o mieszkańcach tamtejszych: „Ryby i mięso choćby już na pół zgniłe i śmierdzące smakują im wybornie. Po obiedzie najchudsi ludzie zamieniają się w brzuchaczów. Herbatę i suppę pożywają kipiątkiem, którego ja nawet ustami dotknąć się nie mogłem. Trzech takich żarłoków pożarło bez odetchnienia całego rena.“

Milon z Krotony, Aryst duszęby wyzionął.

Milon z Krotony sławny w starożytności zapaśnik podług Strabona (księga VI.) uczeń Pitagoresa, był nadzwyczajnej siły: na igrzyskach olimpijskich poniósł raz przez 120 kroków żywego wołu, zabił go pięścią, i zjadł całego w jednym dniu. — Aryst, rodem z Arkadyi, wspomina o tym żarłoku Xenophon w swojej Anabasis. Ks. 7.

I na weselu, którym Potocki się wsławił.

O tém weselu Felicyana Potockiego, gdy zaślubiał córkę Jerzego Lubomirskiego marszałka w. i hetmana polnego koronnego r. 1681., obszernie tu donosić, zawiele zabrałoby miejsca, odsyłam więc ciekawego czytelnika do dzieła Łukasza Gołębiowskiego: Domy i dwory str. 94. Tu tylko tyle z niego wypiszę, że uczty tego wesela sporządzało 75 kucharzy, 6 pasztetników, 4 cukierników, nad którymi 4 kuchmistrzów przewodziło. — Gdzie czytałem o święconém Zamojskiego, już nie pamiętam.

Do pieśni trzeciéj.

Kiedy na markiza O trafił w jakiémś dziele.

Zapewne w Davili historyi wewnętrznych wojen we Francyi, gdzie często wzmianka o tym do strony Hugonotów przywiązanym i dzielnym oficerze. Ostrzega się czytelnika, aby litery *O* nie wziął za początkową nazwiska, bo ona sama wyraża całe nazwisko.

Jak harmonią muzyki ucho Lipsyusza.

Justus Lipsius urodził się r. 1547. w Isch, miasteczku brabantskiém, niedaleko Bruxelli, był professorem historyi i wymowy w Jenie a umarł r. 1606. Niegdyś używał sławy znakomitego pisarza, ale póżniéj poznano się na mnogich wadach jego stylu. Jak w rzeczach literatury miał smak przewrotny, tak też

i muzyki wyraźnie znosić nie mógł, ale natomiast lubił bardzo psy, którym nagrobki z napisami stawiał. Póty przypisek autora; ja zaś dodaję, że gdy mowa o krytykach Leszka, możnaby tu umieścić, co sprawiedliwie powiada Le Sage, lecz nie mając oryginału pod ręką, przytoczę z tłumaczenia hiszpańskiego: „En verdad se debe convenir en que si abundan los malos autores abundan mas los peores criticos. Cuando pienso en los disgustos, que los poetas dramaticos tienen que sufrir, me admiro de que haya algunos tan atrevidos que hagan frente à la ignorancia del vulgo, y à la censura peligrosa de los sabios superficiales, que corrompen algunas veces el juicio del publico.“

Jak się poranił papież Lizeta pismami.

Piotr Lizet urodzony 1482., umarł r. 1554. Będąc pierwszym prezydentem parlamentu paryzkiego, prześladował zawzięcie Hugonotów, a chociaż nie był człowiekiem utalentowanym, ani też biegłym teologiem, zachciało mu się przecie pisać przeciwko protestantom. To pobudziło sławnego Bezę do napisania dowcipnéj satyry, gdzie o twardym stylu Lizeta się wyraża.

Ale Parafiańszczyzną najwięcéj się chwali.

Parafiańszczyzna, dziełko drukowane w Poznaniu bez imienia autora. Treścią tego dziełka są pa-

szkwile na wyższe stany; tę niebardzo chwalebną dążność możnaby jeszcze autorowi darować, gdyby przynajmniej bawił dowcipnie, ale właśnie tego przyznać mu nie można, chociaż chęć jego zdaje się widoczna. Tak to nie jeden, gdy u siebie w domu lada jakim płaskim dowcipem zabawi żonę, dzieci, a czasem nawet dobrodusznego sąsiada, myśli, że i publiczność zabawić potrafi; ale to wcale co innego.

Witalis Kukułka.

A Czepkowi ekwipaż wymiata na oczy.

Czepek, a w pieśni czwartéj Szczypka, są to nazwy z Parafiańszczyzny wzięte.

Sztuczne londyńskich nocy oświetlenie gazem.

O tém oświetleniu gazem znajduje się obszerna wiadomość w Lacha-Szyrmy podróży do Anglii i Szkocyi.

To mówiąc, łzy ociera chustką batystową.

Wanda nie może się użalać, że nasz autor wszystko tylko na jéj naganę pisze, bo gdzie może, wspomina o jéj zaletach, jak n. p. tutaj czyni wzmiankę o jéj chustce b a t y s t o w é j.

Witalis Kukułka.

Mówią jakiś Cervantes karcił śmieszne cele.

Don Miguel Cervantes Saavedra, twórca Donkiszota, urodził się nie r. 1549. jak pisze dykcyonarz historyczny, ale w r. 1547. w Alcali de Henares, gdzie się metryka jego datowana dnia 3. Octobra 1547. r. znajduje; więc i Florjan mylnie na dniu 9. Octobra urodzenie jego kładzie. Cervantes ciągle od losu prześladowany, zakończył dni swoje w Madrycie dnia 23. Kwietnia 1616. Oprócz Donkiszota, pisał wiele krótszych i dłuższych powieści, ale mojém zdaniem, małéj wartości; pisał i sztuki dramatyczne, między któremi Naumancya najlepsza.

I że Lucyan, Rzymianin miał dowcipu wiele.

Tu Leszek popełnia ten sam błąd, co p. *I. G.* w swojéj rozprawie: „Rzut oka dziejowy na umiejętność i sztukę wojowania,“ czyniąc Polibiusza Rzymianinem. (Obacz Pamiętnik naukowy tom III. str. 33.) Polibius był rodem z Megalopolis w Arkadyi, a Lucjan z Samozaty w Azyi; oba pisali po grecku. Lucjan żył w drugim wieku ery naszéj i zostawił liczne dzieła, po największéj części we formie dyalogu, których cechą wesoły dowcip i szczególny dar wyśmiania. Na tych dziełach jego kształcili się najznamienitsi satyrycy i humorystycy.

Że jakiś Swift, Rabener......

Jonathan Swift, doktor teologii, przyjaciel wierny Alexandra Pope i autor sławnej podróży Gulliwera i bajki o beczce, urodził się z familii zacnej w Dublinie r. 1667. W ostatnich latach życia utracił pamięć, dostał nawet pomięszania zmysłów i umarł r. 1735. — Gottlieb Wilhelm Rabener, jeden z najdowcipniejszych satyryków niemieckich, urodził się 17. Września 1714. r. we Wachau niedaleko Lipska. Sprawował urząd przy biórze podatkowém i umarł na apoplexję 22. Marca 1770. r. Satyry swoje pisał prozą, lecz im rozmaitą formę dać umiał; wyszły razem w Lipsku w 6 tomach, na których czele znajduje się wiadomość o jego życiu i pismach p. Ch. T. Weisse.

Raz: królestwo za konia! wołał Ryszard trzeci.

Sławny wykrzyk Ryszarda: konia! konia! całą Anglią dam za konia! znajduje się w dramacie Szekspira, pod tytułem: Życie i śmierć Ryszarda trzeciego.

Stać tam, słuchać i patrzeć i spokojność stracić.

I chociaż kto nie czytał dzieła hiszpańskiego: Anatomia del cuerpo del Fray Gerundio y Apologia de su Alma, pozna, że tych kilka wierszy nie są ni-

czém innem, jak tylko ironią, w której autor sam z siebie żartuje; bo nie sądzę, aby je napisał mnie na złość, dla tego, że ja w moim komentarzu do wierszy **Wanda i kwiaty** gruntownie dowiódłem, że on się w téj Wandzie ani krzty nie kochał. Wspomniawszy tu o moim komentarzu, muszę się przyznać, że dotąd od światłych krytyków żadnéj pochwały za niego nie odebrałem; ale gdy mi go już kilku głupców zganiło, więc to, jak każdy wie, na jedno wychodzi, dla tego ja zawsze sobie pochlebiać mogę, że mi się ta pierwsza próbka pióra mojego nie źle udała.

Witalis Kukułka.

Do pieśni czwartéj.

Równie w Ułaszkowcach szewcy rzędem długim.

Ułaszkowce małe miasteczko w cyrkule Czortkowskim, słynne wielkim co roku jarmarkiem, który się 6. Lipca zaczyna.

Tak się kąsali wspólnie Maupertuis z Wolterem.

Maupertuis był Prezydentem akademii berlińskiéj za czasów Fryderyka Wielkiego, na którego dworze

bawił podówczas Wolter. Kłótni niegdyś głośnej tych dwóch uczonych, powodem była zazdrość; bo jak powiada Condorcet: „Maupertuis trouva très-mauvais que Voltaire n'eut point parlé de lui dans son discours de reception à l'Academie Française; mais l'arrivée de Voltaire à Berlin acheva de l'aigrir. Il le voyait l'ami du souverain dont il n'etait parvenu qu'a devenir un courtisant, et donner des leçons à celui dont il recevait des ordres.“ Wkrótce proces Königa otworzył im pole do zaciętej wojny.

Newtoniści z Leibnitzem, a Heeren z Herderem.

Sprzeczka między uczniami Newtona a Leibnitzem powstała o wynalezienie kalkulu differencyonalnego. Zdaniem uczonych, jak n. p. Woltera, mogli obadwa filozofowie, to jest: Newton i Leibnitz być twórcami tego wielkiego wynalazku. Tymczasem Leibnitz przody go drukiem ogłosił; Newton milczał, ale nie uczniowie jego: ci zadali publicznie Leibnitzowi, że sobie przyswaja cudzy wynalazek. Filozof niemiecki odpowiadał z początku na ten zarzut, ale nakoniec widział się zmuszonym oddać tę sprawę pod sąd Towarzystwa królewskiego w Londynie, a to za Newtonem rozstrzygnęło. — Do sprzeczki między Heerenem a Herderem dały powód badania ruin Persepolis; Herderowi się zdawało, że go Heeren przepasał, a Heeren dowodzi

mu uszczypliwie, że swoją szedł drogą, nie oglądając się na jego pismo.

Tygodnik literacki zawsze wydrukuje.

Tygodnik literacki, pismo peryodyczne w Poznaniu, wychodzące pod redakcyą P. Woykowskiego.

Spuścił firanki lśniące purpurą zieloną.

Wyraz purpura nie stósował się u starożytnych do żadnego koloru, ani do żadnéj materyi, ale zwano tak pewny sposób farbowania, to jest: sokiem z muszli morskich, dla rozróżnienia od innych farb, bo i z wegetabiliów sporządzano takowe. Dla tego purpura mogła być różnego koloru, tak czerwona, jak biała lub czarna, tak żółta jak niebieska, nie licząc z mieszania wynikłych kolorów. Myli się więc p. Łukasz Gołębiowski, dając wyrazu purpura takie objaśnienie: „Szkarłatny kolor, lub sukno szkarłatne. Był to wszakże i sukna gatunek, wspominana bowiem i purpura zielona.“ Ciekawych w téj mierze odsyłamy do dziełka: Amati de restitutione purpurarum. Cesena 1784. — Do tego dziełka dodana jest rozprawa Capelliego: de antiqua et nupera purpura; i Dissertazione delle porpore e delle materie vestiarie presso gli antichi, di don Michaele Rosa. 1786.

Zapewne ma i serce na przewrotnéj stronie.

Wiem tylko o dwóch wypadkach serca na prawéj stronie, to jest o tych, o których wspomina De Guy Joli w swoich pamiętnikach: „Le corps d'un de ces miserables ayant été abandonné aux chrirurgiens, on lui truva toutes les parties transposées, le coeur et la rate au côté droit, et la foie au côté gauche. Cela fut remarqué come une chose fort extraordinaire, quoiqu' elle ne soit sans exemple, puisque dans le meme temps, où à peu pres, on trouva la même conformation dans les corps d'un chanoine de Nantes.“

A tutaj jakiś Pajgert, Bóg wie co za jeden.

Dziełko: Miłostki Poety, gdzie się znajdują wiersze: Wanda i kwiaty, a które na świat wyszło pod imieniem Józefa Kalasantego z Sidorowa, podobało się wielkiemu krytykowi przypisać panu Pajgertowi; nie wiem dla czego? czyli już każdy Józef Kalasanty musi być Pajgertem? albo dla tego, że może p. Pajgert w Sidorowie mieszka i wiersze pisze, już tam nikt więcéj mieszkać nie może i pisać wiersze? albo aby się pisać z Sidorowa, trzeba koniecznie mieszkać w Sidorowie? Wszak Brodziński pisał się Kazimierz z Królówki, choć mieszkał w Warszawie;

a nasz Wojciech z Prokocima mieszka we Wietrznem, nasz Wacław z Oleska mieszka we Lwowie. Ale kiedy już takie Leszka zdanie, też nasz autor nie mógł mu co innego kłaśdź w usta.

Witalis Kukułka.

Dam ja mu po tybinkach, aż zadzwoni w trwogę.

Tebienki, tabinki, albo tybinki, gatunek kitajki. Sobole tabinami podszyte. Star. Ryc. 41. — Po tych swoich drwinkach, poskrob się bracie w głowę, weźmiesz po tebinkach. Zabł. Fir. 32. Jak mi wyciął kuranta! nie źle mi dał po tybinkach. Mon. 67. 723.

Wypis ze słownika Lindego.

Bo mój Dominik zaraz publiczności powie.

Ten i następujących pięć wierszy są moim dodatkiem. Mowa tu o Dominiku Magnuszewskim, wierszopisie niedawno zmarłym, ale nie z wielką szkodą literatury ojczystej. Może być, że ten pisarz posiadał cokolwiek nauki, ale talentów, smaku brakowało mu widocznie. W jego pismach widać ciągłe wysilanie się, lecz nie na myśli nowe, tylko na nowe wyrażenia rzeczy powszednich; ztąd styl jego nienaturalny, napuszony, nadto wymuszonemi przenośniami natkany, które

go najczęściej niezrozumiałym czynią, a jeżeli się uda czytelnikowi po wielkich mozołach sens odgadnąć, nie odkryje nic więcej, jak tylko myśl czczą albo już oklepaną. Zdaje się, że on sobie zamierzył prześcignąć wszystkich romantyków, i we wszystkiem być Antipodą klassyków, a że tak zwani klassycy, chociaż nie zawsze poetycznie, jednak najczęściej pisali rozsądnie, więc on zwykle wpadał w nierozsądek. — Niniejszych kilka wierszy stosuje się do jego nadto przesadzonej pochwały Józefa Hr. Borkowskiego, umieszczonej w dzienniku mod z roku 1844. Ja prawdziwie nie pojmuję, jakiego trzeba być czoła, aby tak publiczność okłamywać; prawda, kłamie nie jedno w swoich wierszach i nasz autor, ale to co innego, bo on kłamie, aby czytelnika zabawił, tamten zaś, aby go w błąd wprowadził. *Przypisek Wydawcy.*

Ale gdy dnieć już miało sen nie był tak słodki.

Podług mniemania ludu sny nadedniem zwykły się sprawdzać.

Tygodnik literacki niemocą złożony
Na swém lichém posłaniu kona rozciągniony.

Że nie wszystko w tych wierszach jest płodem wyobraźni, to pewna; oto jest dokument konania Ty-

godnika dowodzący, a razem próbka wzorowego stylu P. Redaktora w liście do Adama Rościszewskiego pisanym, a w Gazecie Lwowskiej No. 10. z 3. Stycznia 1844. przedrukowanym. List ten co do słowa tak opiewa:

Pisano nagle bo rzecz bardzo nagła. Poznań $^{8}/_{1}$ 44.

Wielmożny panie dobrodzieju.

Znana i okazana choć nie przyjęta odemnie dawniej Jego uprzejmość w finansowych Tygodnika literackiego tyczących się interessach ośmiela mnie, tym bardziej iż kilkakrotnie ofiarowałeś WW. Pan Dobrodziej mi w listach pomoc pieniężną, do prośby, abyś odwrotną pocztą raczył mi na zakrycie druku Tygodnika, z którego dotąd ani grosza nie miałem, a dziś, gdy zakaz w Galicyi przymusił mnie do wkładania całego prawie majątku mego, przesłać mi 1000 złt. reńskich. Duma moja nie jest upokorzona przez tę prośbę, bo czuję, że proszę dla dobra literatury ojczystej, *nie* dla *siebie*, lecz dla ojczyzny.

Od WW. Pana Dobrodzieja zależy utrzymanie pisma, które podobno najpierwsze w literaturze ojczystej, i które, że byt swój WW. Panu zawdzięcza, ogłosi wraz z oświadczeniem, że dług chwilowo zaciągniony, w przeciągu roku bieżącego wypłaci WW. Panu Dobrodziejowi.

Oczekując natychmiast łaskawéj odpowiedzi, zostaję z największym szacunkiem sługa WW. Pana Dobrodzieja.

Przez nadesłanie mi téj summy natychmiast, więcéj Pan zasług w literaturze położy, jak przez wystawianie bibliotek lub muzeów. Zresztą z każdego grosza zdam Panu Dobrodziejowi sprawę, że pieniądze Jego *li* na wydanie Tygodnika są obrócone.

Z tym szacunkiem, jakim przejęty jestem dla męża tak zacnego jak WW. Pan Dobrodziéj, zostaję WW. Pana Dobrodzieja

przyjaciel i sługa

A. Woykowski,
Redaktor Tygodnika.

P. S.

Co do pieniędzy powtarzam, że choć o połowę natychmiast proszę — resztę pózniéj. Od Pana zawisło wychodzenie Tygodnika. Pewno te ostatnie słowa są gwarancyą, iż przeczytawszy, odpiszesz i prześlesz co życzę, jako na rok mnie pożyczone.

Przypisek Wydawcy.

Lecz między nami mówiąc, pan pewno nie myślisz,
Że wiersz jego tak lichy? tylko tak tu kreślisz.

Te dwa wiersze ledwie mi się nie najlepiéj w całym poemacie podobały, dowodzą bowiem, jak dobrze

zna autor serca kobiet. Już to w ich naturze leży, że nie lubią, aby kto inny tych poniżał lub lekce ważył, co ich wdziękom hołdują lub o ich rękę się starają, nawet wtedy, gdy żadnéj wzajemności nie czują, a co więcéj, nawet gdy same cierpieć ich nie mogą i poniżają. Zródłem tego uczucia jest, jak prawie wszystkich innych miłość własna.

Przypisek Wydawcy.

Do pieśni piątéj.

Jak srogi Timur, co krwi rozlewem się tuczył,
W swojéj klatce po świecie Bajazeta włóczył.

Timur albo Tamerlan, chan Tatarów, urodził się w Kieszu roku 1335., po niezliczonych rabunkach, pożogach i mordach, skończywszy panowania swego lat 36, umarł roku 1404. w Otrarze w Turkiestanie, właśnie gdy się wybierał Chiny zawojować. Z Bajazetem, cesarzem Osmanów żył w nienawiści, po wielu odgrażaniach wzajemnych, spotkały się naresz-

cie wojska obu stron r. 1402. na równinach Angory we Frygii. Trzy dni trwała potyczka, nareszcie Ba-Yezid zwyciężony i w niewolę wzięty. Gdy go Timur zapytał, co byłby z nim zrobił, gdyby go był w niewolę dostał, odpowiedział Bajazet: „Byłbym cię zamknął w żelaznéj klatce.“ Otóż to samo zrobił z nim Timur.

Właśnie jak Kleonowi ta wyprawa Tracka.

Kleon, demagog ateński po śmierci Peryklesa. Komu znany jego charakter z historyi Tucydydesa i z komedyi Aristofanesa, musi przyznać, że nasz autor, kreśląc swój obraz tak, jak go niżej obaczymy, bardzo trafnie wybrał to porównanie, chociaż mu dzieje narodów nie jednego pobitego wodza przedstawić mogły.

Przypisek Wydawcy.

Już to dla publiczności piąte gody sprawiam.

Widocznie tu mowa o pięciu dziełkach, ale które to są, tego nie wiem; mnie tylko Miłostki Poety znane.

Przypisek Wydawcy.

Jak całował Grocyusz Farsalię Lukana.

Farsalia Marka Annaeusza Lukana, epopeja opiewająca wojnę Cezara z Pompejem. Tiraboschi w swojej historyi literatury włoskiej, mówiąc o tym poemacie, dodaje: Né tra i moderni sono mancati a Lucano lodatori e protettori per sapere e per autorità ragguardevoli. Del celebre Ugone Grozio si dice (L'esprit de Guy Patine p. 28. Acta Lips. 1710. p. 417.) che lo avesse in pregio e in amore si grande, che sempre lo volesse seco, e talvolta ancora per trasporto di tenerezza il baciasse.

Storia della Letteratura Italiana Tom II. p. 66.

Ani słowa, pieniążki wysypałem śliczne.

Na drugi raz będę ostrożniejszy, i na żadne pismo perjodyczne przódy się nie zapiszę, póki nie otrzymam zaręczenia od Redaktora, że w piśmie swojém przynajmniej jednę kartkę pochwałą mych wierszy zapełni, i to zaraz w pierwszym kwartale. Gdyby komu z nich brakowało konceptu, sam mu ku temu pomodz mogę. To się niniejszém podaje do powszechnéj wiadomości.

A ja właśnie myślałem, że on mając własne
Pojmowanie krytyki dogodne, choć ciasne.

W Kraszewskiego Nowych Studiach literackich Tom I. znajduje się rozprawa: „Sąd krytyki i czytelników," gdzie autor rozwija myśli nowe, ale nie zawsze ścisło-logiczne i z prawdą zgodne; wyobrażenia jego zdają się nie dosyć jasne, a czasem sprzeciwia się sam sobie. Nie tu miejsce brać pod rozbiór całą rozprawę, ale gdy trzeba usprawiedliwić co się rzekło, obaczmy, co p. Kraszewski na pierwszych dwóch trzech stronnicach powiada. Oto powiada:

„Ogółu sąd jest jedynym, sprawiedliwym sądem. Zdanie ogółu maluje czucie ogółu. — Zdanie to jest jedynym sprawiedliwym sądem o dziele i takowe potomność potwierdza."

Nie zawsze! Cała Francya, cała Europa czytająca uwielbiała niegdyś poezye Woltera, a dziś nikt się nad niemi nieunosi; Melanii La Harpa przedano w kilku tygodniach kilkanaście tysięcy exemplarzów, oczywiście sąd ogółu poczytał ją za arcydzieło, dziś przecie nie tylko Melanię ale całego La Harpa zapomniano. Ja sam pamiętam jakie na ogóle zrobiła wrażenie Barbara Felińskiego gdy się pojawiła; nim jeszcze z druku wyszła, już ją sobie w rękopiśmie z rąk do rąk wydzierano i przepisywano, a ile się razy na scenie uka-

zała, teatr był przepełniony i oklaskom nie było końca; dziś nikt już o niej ani wspomni. Dla czego? Bo się odmienił smak, a ze smakiem sąd ogółu. Zjawili się geniusze wyższego rzędu i pokazało się, że to co dawniej uwielbiano, jest obok ich płodów zimne, wyblakłe, słowem niczém więcéj, tylko deklamacyą. Z drugiéj strony czyliż współczesny ogół Szekspirowi, Miltonowi, Cerwantesowi oddał tę sprawiedliwość, która im należała? bynajmniéj; dopiero potomność ocenić ich potrafiła. Widzimy więc, że potomność nie zawsze sąd ogółu potwierdza. Ale któż to jest ten ogół? P. Kraszewski powiada:

„Rozumie się, że za ogół bierzemy część najoświeceńszą w narodzie.“

Gdy tu jest mowa o krytyce poezyi, to najoświeceńszéj części w narodzie mieszać w to nie trzeba, bo taka część składa się z doktorów prawa, z teologów, filozofów, badaczów historyi, matematyków, astronomów, fizyków, chemików i t. p., a ci poezyą albo nic albo bardzo mało się zajmują.

P. Kraszewski powiada:

„Im więc krytyk dobitniej będzie w sobie, sobą, wyrażał i przedstawiał uczucie i zdanie ogółu, tém krytyka jego będzie pewniejszą sankcyi i przyjęcia.“ (Krytykowi nie o sankcyę i przyjęcie ale o prawdę chodzić powinno.) „Zdanie czyli sąd

ogółu, po tém się poznaje, że je usłyszysz z ust najróżniej usposobionych ludzi, co sobie nigdy swych myśli przelać nie mogli.“

Dobrze; ale krytyk chcący wyrazić, przedstawić zdanie ogółu, ileż ma zbiérać takich ustnych głosów, aby był pewny, że takie a nie inne jest zdanie ogółu? Będziesz dosyć trzy, cztery, dziesięć głosów? Czyli może trzeba sto, dwieście, tysiąc? I co ma robić w takim razie, gdy jedni chwalą, drudzy ganią, co się najczęściej trafia? O tém p. Kraszewski nic nie powiada, tylko mówi daléj:

„Krytyk przed tém zdaniem (ogółu) jest niejako adwokat przed sądem, co wnosi sprawę, broni jéj lub potępia, ale sam nie decyduje.“

Potępiać jest to już decydować, poniekąd nawet i bronić, bo gdy nie bronię tylko tego, co mojém zdaniem dobre, więc oczywiście decyduję, że jest dobrém to, czego bronię. Ciągnąc daléj swoje porównanie mówi autor:

„Wpływać on może na decyzją, ale jéj ogłosić nie w prawie.“

A kiedy jéj ogłosić nie w prawie, jakże ma krytyk wyrazić zdanie ogółu? czego przecie p. Kraszewski koniecznie od niego żąda. Porównanie krytyka z adwokatem źle wybrane. We wiérszach nazwałem

Kraszewskiego pojmowanie krytyki dogodnem, bo dogodną jest rzeczą dla niektórych autorów nieprzypuszczać sądu indiwidualnego, tylko się odwoływać do ogółu; bo gdy ten jest tylko abstrakcyą myśli, więc oczywiście nie odezwie się z niczem na szkodę takich autorów.

A byłbym lepiéj zdołał jak ten co nas nudzi
Baśniami i bredniami w opisaniu Żmudzi.

X. Ludwik Adam Jacewicz wydał Wspomnienia Żmudzi we Wilnie r. 1840., książkę napełnioną zabobonami a próżną rzeczy ciekawych. Nie wiem czy można komu dać mniéj pochlebne świadectwo, jak to, które daje Jacewicz panu Kraszewskiemu, chcąc mu wypalić wielki komplement. Albowiem mówiąc na jednéj kartce o Żmudzinach w ten sposób: „Może chcecie wiedzieć, na jakim stopniu jest czytelnictwo na Żmudzi? Nie przesadzimy gdy powiemy: na bardzo niskim. W całéj prowincyi nie ma ani jednéj publicznéj biblioteki, nie ma księgarni; zbiory książek po rzadkich znajdują się domach i to nie liczne, nie z wybornych dzieł złożone;“ powiada zaraz na drugiéj stronie: „zapomniałem powiedzieć, że jakimś dziwnym przypadkiem zawitało tu kilka exemplarzy Witolraudy, która wszystkich zachwyciła, nawet tych co w ciągu życia swego, nic więcéj nad kalendarz i książkę do modlenia się nie przeczytali.“ Ja sądzę,

że takie doniesienie niebardzo p. Kraszewskiemu pochlebić musiało, bo jeżeli nie małą rzeczą podobać się znawcom, oświeconym czytelnikom, toż z drugiéj strony zachwycić czytelników nie okrzesanych, bez smaku, i takich co nic więcéj prócz kalendarza nie czytali, nie dowodzi jeszcze dobroci dzieła.

To gorzéj że i Kremer Arjadny Grupego.

Arjadna Grupego, dzieło krytyczne pełne głębokich pomysłów, którego treścią analiza tragicznéj sztuki u Greków. W niém jedném więcéj się w tym względzie dowiedzieć można, jak we wszystkich innych krytykach, nie wyjąwszy Lessynga i Schleglów. P. Kremer w swojém treściwém i wyborném dziele: Listy z Krakowa, przyrzeka nam także późniéj o Sofoklesie, największym z Poetów Greckich obszernie pomówić, lecz gdy to może tak prędko nie nastąpi, więc czytelnikom ciekawym, co też p. Kremer powie o Sofoklesie, radzę przeczytać Arjadnę Grupego.

Jak drugi Suwarow ucieczką się wsławię.

Gdy Massena dowodzący r. 1799. w Szwajcaryi, na wojska rossyjskie pod komendą Korsakowa niespodzianie napadł i na głowę pobił, musiał Suwarów,

który właśnie chciał się z nim złączyć, a którego prawe skrzydło po tej przegranej odsłonięte zostało, cofać się przed nacierającym na niego generałem francuzkim Lecourbe. To cofanie się z wielkiemi trudnościami połączone, zręcznie wykonane, niemałą sławę Suwarowi przyniosło.

Wszakże Wolter i Goethe nie chodzili boso.

Z wszystkich autorów, którzy dotąd żyli, podobno żadnego autorstwo tak niespanoszyło. jak tych obu tu wspomnionych. Goethe zostawił ogromny, prawdziwie magnacki majątek i bogate muzeum; toż samo i Wolter, chociaż w dobrych celach ogromne summy wykładał.

A gdybym tylko pisał satyry jak Sterne.

Wawrzyniec Sterne sławny autor Tristrama Shandy i Podróży sentymentalnej. Napisanie dowcipnej satyry pomogło mu osiągnąć najlepszą plebanię przy katedrze w Yorku.

Bo wiemy co dostawał od nich Aretyno.

Piotr Aretino rodem z Arezzo w Toskanii ujrzał świat r. 1492. a umarł we Wenecyi r. 1556. Ten najzłośliwszy z wszystkich satyryków zostawał przez

niejaki czas w służbie papieżów Leona X. i Klemensa VII. z domu Medyceuszów. Powiadają że Franciszek I król francuzki i cesarz Karol V. opłacali mu się, aby na nich satyr nie pisał. Nazywano go biczem możnowładzców i boskim Aretino. On sam kazał bić medal, który na jednéj stronie przedstawiał jego wizerunek z napisem: Jl divino Aretino; a na drugiéj wyobrażał go siedzącego na tronie i odbierającego dary od posłów różnych dworów z napisem: Principi tributati da Popoli tributano il Servidor loro. W uczniu swoim Nicolo Franco znalazł godnego siebie przeciwnika. Niedawno z historyi życia jego ułożył jeden z poetów francuzkich piękny dramat.

Tu leży Ju-Kiao-Li, przeczytać możecie.

Jest to dosyć obszerny i równie nudny romans chiński, którego treścią, że jeden młody literat chiński po złożonych dowodach swojéj uczoności dostaje dwie nietylko uczone ale i posażne żony. Romans ten przetłumaczył na język francuzki Abel - Remusat i przydał piękną rozprawę o romansach chińskich.

Że rownie jak Mencyni umrę z piórem w ręku.

Sławny poeta włoski Benedykt Menzini urodził się we Florencyi r. 1646. Chociaż w młodości był przeznaczony do rzemiosła, przykładał się z pilnością

do nauk wyzwolonych i znaczny w nich postęp uczynił. Gdy w Pizie żadnéj posady uzyskać nie mógł, udał się do Rzymu, gdzie go poznawszy królowa szwedzka, Krystyna, mianowała go członkiem swojéj akademii i wyznaczyła mu roczną pensyę. Po jéj śmierci utrzymywał się z kazań i panegiryków, które za drugich wyrabiał. Roku 1694. został kanonikiem przy kościele Ś. Anioła i nauczycielem w szkole Sapiencyi. Był także servidore attuale papieża Innocentego XII., a r. 1704. znaleziono go przy stoliku z piórem w ręku już nieżywego. Dzieła jego wyszły we Florencyi w dwóch tomach in 4to r. 1731

I jak niegdyś swe Balde miasta burmistrzowi.

Jakób Balde jeden z najlepszych poetów łacińskich wieku siedmnastego urodził się w Ensisheim r. 1603. Wstąpił r. 1624. do zakonu Jezuitów i nauczał pięknych umiejętności przez lat sześć, potem bawił długi czas na dworze elektora bawarskiego. Po jego śmierci zapadłéj w Neuburgu r. 1668. dostał pióro jego radzca w Nürenbergu i w srebrnéj skrzyneczce umieścił.

Tak Hrabia z Ostroroga powiada w swém dziele.

Jan hrabia z Ostroroga wojewoda poznański, zapalony myśliwy, wydał w Krakowie r. 1618. książkę pod tytułem: Myślistwo z Ogary, gdzie wyraźnie po-

wiada, że nie ma za człowieka tego, co o sztuce myśliwskiej lada jako rozumie. Ktokolwiek, mówi tamże, nie kocha się w polowaniu w porozumienie wpada, że jest servilis, jako kupiec, albo lichwiarz, albo człowiek podły, który się bez żyły szlacheckiej urodził.

Wypis z Maciejowskiego.

Wpadłaś na mnie, o sroga! siłą prawie Tarły.

Jan Tarło, krajczy Zygmunta I. w konnych gonitwach porywał przeciwnika i z konia zrzucał. Drzwi żelazne i zamek nie wytrzymały silnego uderzenia ręki Tarły; pękały lub uginały się sztaby żelazne, a gdy mocował się z kim i porwał za rękę, kość pękła. Oszczepem na śmierć zabijał rozjuszonego niedźwiedzia. Ob. Domy i Dwory Łukasza Gołębiowskiego.

Porwałaś mnie na ręce jak Walisa z łodzi
Królowa Otahajty na morza powodzi.

Samuel Walis, Anglik, odbywał podróż około kuli ziemskiej w latach 1766—1768. Gdy przybył do Otahajty wpadł w wielką łaskę u królowej tej wyspy i raz po swojej słabości idąc z nią razem, ilekroć się zbliżył do jakiej kałuży, porwała go królowa z wszelką łatwością na ręce i przeniosła przez miejsce przykre.

